

**STATEK
GŁUPCÓW**
NIEREGULARNIK
OKOŁOKULTURALNY

NUMER
PIERWSZY
LUTY 2026

SŁOWO CZYLI WSTĘPNE GADKA KAPITAŃSKA

motto numeru:

*Nie drukujcie na śliskim papierze,
ciężko takim dupę wytrzeć!*

- Ciemnastronarcucha -

Spójrzmy na bezkresny ocean. Zauważmy w oddali mały punkt. To nie punkt, a niewielki statek – Statek Głupców – przedzierający się przez niespokojne fale. Zróbmy zbliżenie. To jednomasztowiec niosący na swym grzbiecie załogę złożoną z reprezentantów wszelkich postaw społecznych, przekonań politycznych i religijnych, posiadających skrajnie różne wychowanie, uznających różne normy społeczne i legitymujących się różnorodną edukacją oraz doświadczeniem życiowym.

Na pierwszy rzut oka widać, że żaden załogant nie wie tak naprawdę, jak się nawiguje według gwiazd, jak się używa przyrządów takich jak sekstans czy busola, jak się wybiera cel podróży i steruje samym okrętem. Poruszają się trochę bezładnie, o czymś dyskutują, coś wykrzykują, robią dużo zamieszania.

Pozostaje im więc intuicja i wiedza szczątkowa, tu zasłyszana, tam ukradzioną, skądś zapożyczoną lub podarowaną z dobrej woli.

Niemniej – wbrew wszelkim przeciwnościom i wbrew może logice – łajba została zwodowana i wypłynęła cało z portu, a teraz... teraz płynie, a może tylko unosi się na powierzchni.

Wszyscy załoganci, od najprostszego majtka po wyrafinowanego kapitana – zakładając, że uznajemy takie głupoty jak podziały ról – mają jedno tylko marzenie: chcą trafić do mitycznego raj, Naragonii, według różnych relacji albo raj, głupców i błaznów, albo królestwa szczęścia.

Chyba że przyjmujemy, że to tożsame. Nie podejmę się rozstrzygnięcia, zostawię czytelnikowi pod ocenę.

Pozwólmymy dryfować statkowi i pozwólmymy dryfować (sic!) wyobraźni, ostatecznie o tym ma być ten magazyn.

Jak doszło do skompletowania załogi?

Nie mogę mówić w imieniu Boscha (obraz), Dürera (drzeworyt), Webera (rzeźba), Jima Morrisona (tak! Posłuchajcie „Morrison Hotel”) i wielu innych, albo wreszcie nie odbiorę prawa głosu pomysłodawcy: autorowi poematu pod tym tytułem, Sebastianowi Brantowi.

Mogę za to opowiedzieć (bo w anegdoty jestem dobry), jak doszło do zaokrętowania niekompetentnej załogi na dziurawej łajbie, która właśnie – pod banderą ze starych kałesonów – przemierza ocean internetu, ładując działa burtowe pokracznymi ideami.

Internet, jeśli do czegoś służy, to do **robienia memów, publikowania pornografii oraz** łączenia ludzi o różnych przemyśleniach, estetykach, o różnych pomysłach na życie. Czasem z tego połączenia wynikają wojny forumowe, wyzwiska, (karalne) groźby i tak dalej. Idealne miejsce dla starego trolla.

Ale czasem powstaje czytelnicza inicjatywa, klub dyskusyjny, który niemal niezauważenie przekształca się w grupę przyjaciół. Czasem jeden z tych przyjaciół, po dwunastym Bosmanie albo Perle, rzuci w eter, bardziej dla wypełnienia ciszy: „zawsze chciałem stworzyć magazyn kulturalny, ale brakowało mi tupetu”. Zamiast spodziewanego „ja też” albo „nie rozlewaj, to poważny lokal”, w odpowiedzi słyży: „YOLO! Zróbmy to”. Pół roku i jeszcze kilka piw później patrzycie na efekt. Nawet mi Was nie żal.

A skąd nazwa dla łajby – taka, a nie inna?

Przypomnijmy: załoga poszukiwaczy szczęścia, wywozujących się z każdej dziedziny życia, sięgająca po każdy przejaw kultury, analizująca ją, uprawiająca, krytykująca. Biegająca większość czasu bezładnie, próbując dojść do jakiegoś porozumienia. Głupcy, nie? Nawet jeśli zaraz zatoną, będą zadziornie bulgotać, do samego końca.

Czy nazwa magazynu naprawdę mogła być inna?

Łukasz Wilkan

SPIS BEZECIEŃSTW:

- 2 PUBLICYSTYKA: 250 LAT POLSKIEJ FANTASTYKI - MATEUSZ SZŁAPKA
- 4 OPOWIADANIE: „CIĘŻKA LEKKOMYŚLNOŚĆ” ADAM SOŁTYS
- 6 OPOWIADANIE: „PRIMA APRILIS” WOJCIECH MOSKA
- 10 PUBLICYSTYKA: W CIENIU DRZEW BARTKA BIEDRZYCKIEGO - RECENZJA - TOMASZ ZIEMBICKI
- 12 PUBLICYSTYKA: PRAWDZIWYCH RECENZENTÓW JUŻ NIE MA - KLAUDIUSZ
- 14 PUBLICYSTYKA: KTÓRĘDY DROGA WIEDZIE AUTORA? - MACIEJ SZMAJDZIŃSKI I ŁUKASZ WILKAN
- 18 PUBLICYSTYKA: HUMOR W CIEMNOŚCIACH - ADAM SOŁTYS
- 20 PUBLICYSTYKA: O KONIECZNOŚCI WKURWU - TOMASZ ZIEMBICKI
- 22 PUBLICYSTYKA: Ekologiczny horror i technologiczna apokalipsa: transgresje gatunkowe w literaturze klimatycznej XXI wieku ADAM MOCNY
- 26 PUBLICYSTYKA: ZORZA - MACIEJ SZMAJDZIŃSKI
- 28 PUBLICYSTYKA: NIEDOKOŃCZONE OPOWIEŚCI nr1: SURFACE - NA POWIERZCHNI - SIRMINFO
- 30 KINO POD KLEPSYDRĄ: PTAKI WĘDROWNE - PAWEŁ MARCISZEWSKI
- 33 POEZJA: JAROSŁAW JĘDRASZCZYK - SMORGOŃSKI SZALIK
- 34 GALERIA POD POKŁADEM: KRZYSZTOF ŁOBCZOWSKI - TEKST PAWŁA MARCISZEWSKIEGO
- 37 POEZJA: NIE BOIMY SIĘ / KTO TAM - PAWEŁ MARCISZEWSKI
- 38 DZIAŁ KOMIKSU: Poszło z dymkiem (Nie)zapomniany Jerzy Wróblewski (1941-1991) - MATEUSZ SZŁAPKA
- 40 DZIAŁ KOMIKSU: TRAGIKOMEDIA W JEDYM AKCIE - BARTEK BIEDRZYCKI
- 41 DZIAŁ KOMIKSU: YOUNG MISS TRIBB - ŁUKASZ GOLBA
- 42 DZIAŁ ROZRYWKI: RECEPTY NA BÓL DUPY - MAŁGORZATA JACHIM
- 43 DZIAŁ ROZRYWKI: KRZYŻÓWKA - ANNA SAMCZYŃSKA

250 LAT POLSKIEJ ARTYKUŁ FANTASTYKI

MATEUSZ
SZŁAPKA

Pokładowy historyk wynajduje nam powody do świętowania, ponieważ tylko wtedy można odszpuntować beczkę z rumem. Na okazję, którą wygrzebał w poniższym tekście, kapitan dał wszystkim dzień wolnego. Nie kieruje się pojazdem po pijaku!

Dwieście pięćdziesiąt lat polskiej fantastyki. Tak – dobrze czytacie: 250. Tomasz Kołodziejczak wraz z Piotrem Goćkiem, od lat związani z fantastyką, a zwłaszcza z promowaniem klasyki polskiej literatury fantastycznej, obliczyli, że w 2026 roku przypada równo ćwierć milenium od powstania pierwszej książki z elementami fantastycznymi w kraju nad Wisłą. Inicjatywa ta jest realizowana przede wszystkim przez kanały związane z Endframe Media. Partnerem strategicznym jest Polska Fundacja Fantastyki Naukowej, a do grona organizatorów dołączyła Nowa Fantastyka oraz Fundacja im. XBW Ignacego Krasickiego.

15 marca 1776 roku ukazała się powieść biskupa Ignacego Krasickiego, pt. Mikołaja Doświadczyńskiego przypadki. Tytułowy bohater odwiedza w niej utopijną i nieistniejącą wyspę Nipu, gdzie zostaje poddany reedukacji, która ma go przywrócić do prawowitego życia społecznego. Czy to nie ciekawe? W naszym kraju fantastykę pisze się dłużej, niż istnieją Stany Zjednoczone (przypomnę: deklaracja niepodległości USA to 4 lipca 1776 r.).

Ukazanie się tej powieści nie uruchomiło oczywiście lawiny podobnych treści, zwłaszcza że w okresie zaborów raczej mało kto o fantastyce myślał, gdy musiały powstawać teksty o charakterze patriotycznym i „ku pokrzepieniu serc”. Choć i tam możemy znaleźć elementy, które śmiało możemy uznać za fantastykę – no bo czym, jak nie fantastyką, jest monolog Kordiana na Mont Blanc? Albo mary w Dziadach? Świtezianka? Chochoł w Wese-

to jest druga strona pierwszego numeru statku głupców



250 LAT POLSKIEJ FANTASTYKI

lu? Magia, zwłaszcza ta ludowa, przesiąkała mocno twórczość rodzimych autorów od zawsze. Nie ma tutaj miejsca na dogłębne analizy wszystkich tekstów kultury, które zawierały elementy fantastyki, odsyłamy was do kanału Piotra Goćka gdzie w rozmowie z Tomaszem Kołodziejczakiem wyczerpująco na ten temat rozmawiają.

Jako grupa, która kocha fantastykę – a zwłaszcza polską, tę klasyczną z okresu PRL, włączamy się aktywnie w promowanie tego wydarzenia. Wydaje się, że jest to potrzebne. W zalewie bylejakości, która wyziera z każdej strony, należy przypominać takich autorów jak Janusz Zajdel, Konrad Fiałkowski, Marek Oramus, Adam Wiśniewski-Snerg, Edmund Wnuk-Lipiński, Bohdan Petecki, Tadeusz Miciński, Stefan Grabiński, a także tych z nowszej „klasyki” – Marka Huberatha, Jarosława Grzędowicza czy Rafała Ziemkiewicza. Należy pokazać, że polska fantastyka to nie tylko, wybitny przecież, Stanisław Lem, długo-długo nic, a potem Andrzej Sapkowski i Jacek Dukaj. Niektórzy autorzy, którzy w latach 90. święcili triumfy, trochę zostali przez młodszych czytelników zapomniani, a naszym zadaniem jest wyciągnięcie ich za uszy oraz pokazanie piękna i uniwersalności tej literatury.

Dwieście pięćdziesiąt lat Polskiej Fantastyki to święto całego środowiska, które różne grupy realizują na różne sposoby. My, jako grupa skupiona wokół Statku Głupców, chcemy was przede wszystkim zachęcić do sięgnięcia po tę klasykę. Będziemy to robić na różne sposoby – zarówno przez inicjatywy takie jak zin, ale także na stronie www.statekglupcow.pl, czy na kanale Zwycięzonym w YouTube. Największym polem do popisu pozostaje Instagram, gdzie środowisko „czytelników” jest duże, chociaż dość specyficzne. Fantastyka jest dzisiaj popularna, pytanie tylko o jej jakość oraz przeżywalność.

Warto zwrócić uwagę, że wśród tych utyskiwań, o których piszę, znajdziemy też przejawy naprawdę świetnych, stosunkowo młodych inicjatyw – wymienić należy chociażby Wydawnictwo IX, które obok absolutnych klasyków polskiej i światowej literatury fantastycznej, daje szansę młodym (ale też i starszym – tak, na Ciebie patrzę, Andrzej) debiutantom. Ci zaś szybko są sprawdzani przez środowisko i weryfikowani pozytywnie. Bo Krzysztof Bieliński, który ciągnie ten statek zwany IX, ma nosa do dobrej literatury.

W wielu miejscach w Internecie rozpoczęły się już działania mające na celu uświetnienie tej rocznicy – Piotr Gociek, Łukasz Adamski i Tomasz Kołodziejczak na swoich kanałach na YouTube promują i przypominają różne media, które na przestrzeni tych dwustu pięćdziesięciu lat przyczyniły się do rozwoju fantastyki w Polsce. Warto włączyć się wraz z nimi w te działania i przypominać, gdzie się tylko da, o naszym wkładzie w światową literaturę fantastyczną.

Dlaczego o tym piszę? – zapytacie. Skoro ciągle mówię o klasyce, to odpowiem, parafrazując klasyka: **A niechaj narodowie wždy postronni znają, iż Polacy nie gęsi, iż swoją fantastykę mają.**

OPOWIADANIE

CIĘŻKA LEKKO- MYŚLNOŚĆ

ADAM
SOŁTYS



rys. Paulina Stefaniak

Mgła się przerzedzała. Bramki biletowe za brukowaną alejką lśniły ciepłym złotem ognisk majaczących na odległym placu. Przez niewyraźne wrzaski, salwy dzikiego śmiechu i spontaniczne wycie przedzierała się kakofonia fałszujących instrumentów. Małgorzata mogła przysiąc, że jeszcze przed chwilą słuchała płyty AC/DC. Pogrzebała w kieszeniach, szukając słuchawek, lecz gdy wymacała coś śliskiego, westchnęła zrezygnowana. Behuś otarł się jej o łydki.

– I tak musisz wejść, po co zwlekać? – zapytał kot.

– Coś czuję, że to będzie strasznie drogie – odparła.

– Pomyśl o tym, jak o inwestycji w siebie. Przecież jesteś całkiem dobra w wydawaniu pieniędzy na przyjemności.

– Obiecujesz, że będziesz mnie pilnować, żebym nie przepuściła wszystkiego? Muszę za coś wrócić do domu.

Behuś zmrużył złote oczy.

– Och, na to przecież i tak masz za mało pieniędzy, kochana, ale przynajmniej noclegiem nie musisz się martwić. Spać ci się nie zachce.

– Trzymam cię za słowo.

– Dobrze, że nie za ogon.

W mig znaleźli się przy bramkach. Ochroniarz w koziej masce wyciągnął dłoń i mruknął:

– Jeden animus.

– Za wejście też trzeba płacić? – jęknęła Małgorzata. – Mam tylko dwadzieścia trzy.

– Dwadzieścia trzy miałaś dawno temu – zauważył Behuś.

– Sprawdź dobrze, ile ci zostało.

Pogrzebała w kieszeni sukienki, przemogła obrzydzenie i wyjęła dziewięć zaśnieżonych animusów. Jeden zostawiła, a resztę włożyła z powrotem. Lepił się od tłuszczu, brud nie chciał oderwać się od powierzchni. Może gdyby potarła trochę mocniej, to błyszczalby jak kiedyś? Niestety za nic jej się nie chciało tego robić.

Zacznijmy naszą przygodę od opowiadania autorstwa Adama, żeby lekko i łagodnie wejść w nastrój. Wejdziecie lekko, ale nie gwarantuję, że kac moralny na końcu nie będzie trzymał mocno...

Ochroniarz zgrabnym ruchem zgarnął animus i go przygryzł.
– Mmm, całkiem, całkiem – mruknął i połknął monetę. – Wehódźcie, nie blokujcie kolejki.

– Kolejki?

Obróciła się, za plecami ujrzała sznur wyczekujących niecierpliwie ludzi. Niektórzy wdychali zapachy z przymkniętymi powiekami, inni wpatrywali się z rozchyłonymi ustami w taniec kolorów i świateł, jeszcze inni oblizywali wargi, kolejni nadstawiali uszu, a pozostali wyciągali drżące ręce w błagalnych gestach żebraków proszących o jałmużnę.

– Koziołek ma rację – powiedział Behuś. – Biedacy czekają już dostatecznie długo, nie ma co im dokładać.

Złote bramki brzęknęły radośnie, za małą przybudówką rozpostarł się rozległy plac pełen bawiących się ludzi, wszystkich w maskach.

– Och, a ja nie mam swojej – zasmuciła się Małgorzata.

– Oczywiście, że masz, musisz wybrać tylko tę, która najbardziej ci pasuje. Zwabiła cię muzyka, ale przecież oboje wiemy, że nie dlatego tu trafiłaś. Może świnka ze złotymi uszkami? Głupiutki ptaszek strojny w pstrokate piórka? Pulchna sikorka? – Jesteś bardzo niemiły.

– Jestem praktyczny, to różnica.

Rozcapierzył łapę i zaczął kreślić na ziemi okrąg, dodał parę linii, garść trójkątów i kilka szóstek. W jednej chwili na środku wyrysowanych bohomazów zjawilo się rude dziecko w ciemnym garniturze i groteskowo wysokim meloniku.

– Ojej, a to kto? – zapytała Małgorzata.

– To mój współpracownik, Zazel. Mielicie okazję się już spotkać, ale pewnie zapomniałaś. Zna się na modzie i pomoże ci dobrać maskę.

– Cztery animusy za usługę, kochanieńka – obwieścił zachrypiałym głosem Zazel.

– Przecież to rozbój w biały dzień! – obruszyła się Małgorzata. – To oszczędności mojego życia!
– Droga panienko, myślałem, że to już macie omówione. Moja praca kosztuje, a jak się bawić, to się bawić, czyż nie? No, tego... dama powinna dobrze wyglądać, to oczywista oczywistość.
– Nie dość, że ździerca to jeszcze mizogin!
– Co najwyżej mizantrop, kochanieńka, ale zostawmy to. Maską ważna sprawa, no, tego chyba tłumaczyć nie muszę.
Małgorzata tupnęła bucikiem.
– No kto to widział, żeby obrażać klientkę!
– Dobrze się targujesz, ale niżej niż trzy nie zejdziesz.
– Behuś, skąd ty go wytrzasnąłeś?
Zazel, niewzruszony wybuchem Małgorzaty, ściągnął melonik i zaczął wyjmować z niego maski, układając je obok siebie na ziemi.
– Może jest trochę nieokrzesany, ale to maestro w swoim fachu. Słowa można puścić mimo uszu, widzisz przecież, jaki jest niski, pewno niedożywiony, a musi za coś żyć. Twoje animusy zresztą bardzo podejrzanie wyglądają, lepiej wydać je tam, gdzie ktoś bierze.
– Sikoreczka dla pięknej ptaszyny? – Zazel skłonił się teatralnie przed maską ozdobioną błękitnymi i żółtymi piórami. – A może skowroneczek dla skowroneczki?
Małgorzata już gotowała się do odpowiedzi, ale jedno spojrzenie na błyszczące maski ukoilo jej nerwy.
– To wszystko z naturalnych składników? – zapytała.
– Oczywiście, ręcznie robione, ręcznie malowane, ręcznie zdzierane – zapewnił Zazel. – Zwierzątka darły się, ale tylko odrobinę. Symbol i status ważna sprawa na takim balu, niechże jasnie pani sobie wybierze co laska.
– Jasnie pani? – Małgorzata się zarumieniła. – No dobrze. A te piórka to z prawdziwego ptaszka?
– A z jakiego, tępa decho? A pani tak retorycznie pyta? Prawdziwego, prawdziwego. Sam skubałem.
– Wezmę w takim razie tę sikorkową.
Wyjęła z kieszeni trzy animusy, bez obrzydzenia, a nawet z pewną przyjemnością. Zazel zgarnął je błyskawicznie, wskoczył do melonika i tyle było go widać.
– Pięknie wyglądasz, Małgorzato, te piórka dodają ci powabu – stwierdził Behuś.
– Naprawdę?
– O, tak, ptasi mózdzek jest synonimem lotnego umysłu.
– Boję się jedynie, że nie starczy mi na wszystkie rozrywki.
– Można rzec, zadbałaś o siebie, przykleiłaś coś do gęby i taka ptaszyna z ciebie: efemeryczna, wzniosła i niebiańska.
– Niewiele z tego zrozumiałam i lubię słuchać ładnych słów, ale z gębą nie musiałeś wyjeżdżać.
Ruszyli przez plac, mijając oddających się przyjemnościom ludzi. Grupka nagich kobiet w świńskich maskach tańczyła dokoła ogniska. Ktoś się potknął i wpadł w ogień, iskry strzeliły w krwistych pióropuszkach, woń pieczystego popłynęła z wiatrem.
– By czar euforii omiół cię w zupełności, cierń winien kąsać na przekór grzeczności – oznajmił Behuś.
– Teraz to już jestem pewna, że się ze mnie naśmiewasz.
– Przecież lubisz, jak się z ciebie drwi, wszyscy ludzie to lubią. Jak inaczej nazwać maczanie animusów w każdym możliwym rodzaju lajna, które ma do zaferowania świat?
– Nie dramatyzuj. Czujesz ten zapach? Teraz już koniecznie muszę wrzucić coś na ząb.
Dotarli pod budkę postawnego mężczyzny, który smażył na grillu wątróbkę z cebulką. Małgorzata pogrzebała w kieszeni i wyjęła pozostałe animusy.
– Dwa animusy za normalne, cztery za te z martwicą – rzucił sprzedawca w masce dzika.
– Martwica brzmi znajomo. – Małgorzata wzruszyła ramionami. – Niech będzie.
– Bufet jak bufet, jest zaopatrzony – zauważył Behuś. – Lżej ci, jak wszystko wydałaś?
– Został mi jeszcze jeden. Za coś muszę wyjść.
Behuś wytrzeszczył oczy, padł na bok i zaniósł się kaszlem.
– Wyjść, też mi coś! Ona chce wyjść!
– Smaczne, naprawdę, brakuje tylko muzyki. Zdaje się, że słyszę „Stairway to Heaven”.
– Z pewnością ci się zdaje. Wiesz, jaki jest z tobą problem?
– Nie, a powinnam?
– Jesteś taka bezmyślna, że nawet się nie orientujesz w jakiej czarnej...
– O, patrz! Tam, tam to śpiewają!
Pobiegła, kot za nią.
– Czekaj! – wrzasnął Behuś. – Mam ci coś do powiedzenia!
– Ale ja nie chcę tego słuchać!
– Nie dość, że całe życie przesłałaś bezrefleksyjnie, to nie chcesz nawet wiedzieć, jak umarłaś?
– A kto by tam chciał? Poza tym inni robili gorsze rzeczy. Przynajmniej stałam krótko w kolejce.
– Gorsze rzeczy? Inni? A co ty na to, że maska, którą przywdziałaś, już nigdy nie zejdziesz z twojej twarzy! To symbol kłamliwego życia, które wiodłaś, teraz już na zawsze zmienisz się w sikoreczkę – lasą na doczesne przyjemności! Splamiałaś wszystkie fragmenty swojej duszy! Stałaś w prawdzie przed...
Wpadła w tłum. Jeśli kot coś mówił, to go nie słyszała. Ostatni, oblepiony brudem animus miotał się w kieszeni i nawet nie mógł brzęczeć, gdyż został sam i nie miał o co.



OPOWIADANIE

PRIMA APRILIS

WOJCIECH
MOSKA



rys. Paulina Stefaniak

Niniejszy tekst jest przekładem śląskiego listu alchemika Ojgena (nazwisko nieznane), opublikowanego w „SziŃie Gupielōkōw” 3/1894. Po przeszło stuleciu wydobyliśmy oryginalny rękopis z zakurzonych archiwów, przełożyliśmy go na język polski i po drobnej redakcji publikujemy w odświeżonej formie w pierwszym numerze „Statku Głupców”. Ufamy, że ta alchemiczna opowieść z samego serca Górnego Śląska przypadnie wam do gustu. Życzymy udanej lektury. Redakcja.

Kochlowitz
13 lipca 1893

Drogi Albercie,

pragnąłbym w paru zdaniach rozwiać twoje wątpliwości co do mojego losu, lecz wybac mi proszę – wydarzeń ostatnich miesięcy nie sposób ująć w tak skrótowej formie. Znasz mą gawędziarską naturę: każde pytanie rodzi opowieść, ja zaś nie potrafię oprzeć się potrzebie opowiadania. Wiedz jednak, że nic mi już nie zagraża, a Świętochłowice znów tętnią ludzką żarliwością – cokolwiek miałyby to znaczyć.

Nim jednak rozłożę sprawę na czynniki pierwsze, winienem Ci gratulacje. Pamiętam żywo, jak stary Reinhold czterokrotnie uchylał się od zaliczenia naszej pracy semestralnej z Podstaw Alchymiji Őrganicznej, my zaś, zamiast przyswajać wiedzę z Yncyklopedyji gadōw, płazōw i myńszych stworzyń, mitrężyliśmy cenne godziny na zabrskim ryneczku. Lager za lagerem, jakby jutra miało nie być! Czekał nas rozbrat z alchemiczną sztuką, Albercie – tak wówczas sądziliśmy. A teraz? Wejrzyj na nas, przyjacielu. Obaj ukończyliśmy Kolegiatę, lecz Ty poszedłeś o krok dalej. Profesura! Dla mnie, pospolitego alchemika, to niebýwały wyczyn. Winszuję po wielokroć!

Nosiłem się z zamiarem złożenia Ci gratulacji podczas majowego sympozjum modernistów z etyki alchemicznej, w którym, jak dobrze wiesz, nie wziąłem udziału. Ufam, że treść listu pozwoli Ci zrozumieć, skąd wzięła się ma absencja, potem zaś ów niepokojący bezgłos. Słowem wstępu: wskutek najzwyczajszej pomyłki ogłosiłem Świętochłowice z ludzkiego istnienia. I tylko ja pozostałem prawdziwie człowieczy – i co za tym idzie – przez tysiące nienawistnych oczu obserwowany. Miarkujesz pewnie, że sobie żartuję. Nic bardziej mylnego. Powiem więcej: minie wiele lat, zanim znów pozwolę sobie na frywolne żarty.

Zaczęło się pierwszego dnia kwietnia, w święto dowcipów i figli, łacińskie prima aprilis. Naraz wszystkich wzięło na psikusy. A to po północy mój żydowski przyjaciel Goldblat rozlewał w swoim szynku sok jabłkowy zamiast zabrskiego pilzneńskiego, a to sąsiad spod czwórki postawił na nogi całą kamienicę, wrzeszcząc wniebogłosy „ōgyń! ôgyń u Zymłokowej!”, a to dzwonnikowi zebrało się na żarty i jął bić w dzwon pół godziny przed czasem. Udzielili mi się ów żartobliwy ton, wobec czego bez namysłu wścibiłem swój alchemiczny nos. Ciekaw jestem, czy po samych ingrediencjach domyślisz się, jakim eliksirem zamierzałem uraczyć świętochłowicki lud.

Woda wrząca, trzydzieści kwart. Ogon salamandry płamistej, jedna sztuka z Przedgōrza Sudeckiego. Głóg dwuszyjkowy, dziesięć liści. Szylkret, sześć łutów. Koncentrat węglowy, piętnaście łutów. Po wymieszaniu i ostudzeniu zostaje ostatni, najzmuńniejszy etap – rozlać anker wywaru do miniaturowych flakoników. Z pomocą przyszli mi synowie od Respondków, młodzi, zylaści i robotni. Nie minęły nawet trzy kwadransy i setki małych fiolek wypełnionych eliksirem niewiedzialności oparły się w równych rządkach o dębowy blat mojego kramu na Dworcowej.

„Zōcny panie, zōcno pani, mikstura magiczno, ledwa pół

marki, żödne pijöndze, styknie jedyn szluk i zniköcie stönd na minutã!” – wołałem ile sił w płucach, przyciągając spojrzenia mijających mnie ludzi. A było ich wielu: jedni miarowym krokiem zdążali do roboty, drudzy wracali z nocnej szchyty, kolejni wybierali się na zwykły spacer, jeszcze inni znaleźli się tam zupełnym przypadkiem. Nim się spostrzegłem, kolejka do mojej szczęki ciągnęła się na dobre trzydzieści prętów pruskich. Nowina o magicznym eliksirze musiała dotrzeć viva voce w najdalsze rejony Świętochłowic, bowiem w parę chwil niewielki ogon przeistoczył się w prawdziwy korowód. Ani się obejrzałem, a kolejka była już tak długa, że z mej drewnianej budki nie byłem w stanie zoczyć jej końca.

Ambaras, mój drogi. Miałem za mało porcji!

Postawiłem więc za ladą najmłodszego z Respondków, sam zaś uciekłem do pracowni. Minąwszy drzwi wejściowe, usłyszałem jeszcze jego piskliwe „niych sie pani niy frasuje, ino minutã bydzie trzymało” i czym prędzej zabrałem się do roboty, w której wsparcia udzielili mi starszy z Respondków i córy od Kwaśnych. Albercie, ależ byłem dumny z naszej świętochłowickiej młodzieży! Ich bojowość i zadziór budziły mój najszczerzy podziw, po sam korek wypełniali buteleczkę za buteleczką. Dziewczyny tyle razy oddalały się z naręczem fiolek, że bez wątpienia eliksir trafił do każdego domostwa w mieście, a przynajmniej do tych, z których ktoś od czasu do czasu wyściubiał nos. Wójcik, dla przykładu, zarzekał się, że trzeba mu aż siedmiu porcji. Z prostej matematyki wyszło mi, że starczy nawet dla jego babki, której setne urodziny opijaliśmy przed tygodniem u Goldblata. Po cóż jej takie atrakcje, tego nie wiem, chociaż domyślam się, że przed wścibskim okiem synowej chętnie by się skryła. Pędzej jednak Wójcik, niemożliwy przecież, chciał dla siebie zachować wszystkie siedem.

Strach mnie obleciał, gdy wyobraziłem sobie pustoszące miasto. Cóż jednak mogło się zdarzyć w ciągu minuty, Albercie? Szybko się o tym przekonałem, kiedy ludzkie sylwetki jęły rozwiewać się jak kamfora, znikając z widzialnego świata. Zaraz zaczęły się poszturchiwania okraszane bladeńskim śmiechem, strącanie kapeluszy i meloników z głów nieświadomych przechodniów, niektórym przychodziły na myśl iście niestosowne żarty, szczególnie wobec płci pięknej. Wystraszone damy, niewiele myśląc, sięgały po swoje buteleczki i wypijały je duszkiem, umykając przed wzrokiem niewidzialnych żartownisiów. Mężczyźni również nie pozostawali obojętni. Ot, nikomu nie było w smak stać się obiektem głupich psikusów!

Bahnhofstrasse opustoszało. Zostałem sam.

Jak się zapewne domyślasz, nie przejąłem się tym zbytnio. Otóż pierwsi klienci lada moment powinni wracać do świata materii. Cóż... Upłynęła nie minuta, a dwie, w końcu cały kwadrans, a ja nadal pozostawałem jedyną widzialną istotą, nie licząc starego psa kulawca, który jak co dzień o tej porze schodził z Tummelplatzu.

Ni stąd, ni zowąd w mojej głowie pojawiła się uporczywa myśl – cichy, natrętny głosik: salamandra... salamandra... salamandra... Gnany przeczcuciem, wyrwałem do laboratorium, nie pamiętając nawet o zamknięciu kramu.

Wparowałem do mieszkania z takim pędem, że omal nie rozbilem głowy o żeliwny kociół, opróżniony do cna z magicznego roztworu. Ująłem w dłonie spoczywający na jego dnie oślizgły ogon i siarczyście przekląłem. To nie była salamandra, lecz traszka! I to nie zwyczajna, a syberyjska – niedawny prezent od podróżniczki Neumanowej. Zmroziło mi krew w żyłach, bowiem anima traszki silniejsza jest od salamandrzej, co jak sądzę, nie jest żadną tajemnicą dla kolegiackiego profesora.

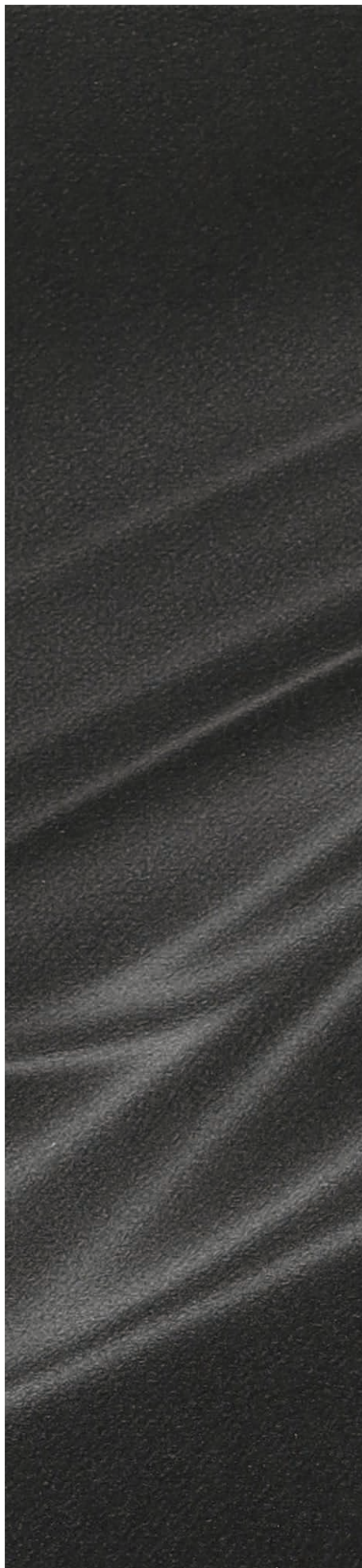
Innymi słowy, ludzie mogli na stałe utracić cielesną formę!

Przeraziłem się nie na żarty, lecz szybko odzyskałem rezon. Nie po to kończyłem Kolegiatę, by poddawać się przy byle potknięciu. W te pędy przystąpiłem do warzenia antidotum. Daruję sobie rozpisywanie receptury, wszak kończy mi się atrament do Remingtona, a nowych wkładów nigdzie bym teraz nie znalazł. Bądź co bądź, po południu remedium było już gotowe. Jak się później okazało, mogłem znać się na alchemii, ale najwyraźniej nie znałem się na ludziach.

Kram raz jeszcze zapełnił się rzędami miniaturowych fiolek mających przywrócić ludziom fizjognomię, utraconą wskutek alchemicznej pomyłki. Byłem przekonany, że niebawem ustawi się przede mną kolumna Świętochłowiczian, gotowych odzyskać to, co do nich należało. Któż nie chciałby z powrotem swojego ciała? Coś jednak mi umykało, bo wokół mnie tylko cisza i duszny bezruch, a może ruch bezduszny. Dlaczego chowali się po kątach? Czy naprawdę tysiące ludzkich zjaw błąkały się po opustoszałym mieście, odrzucając wyciągniętą przeze mnie dłoń?

„Zöcny panie, zöcno pani, zapröszöme dö mie, zaröž coś doradzimy na problemym zatymczasowego nieistniyniö” – powtarzałem nerwowo, licząc, że jeden z drugim upiją łyka i tym sposobem dadzą przykład pozostałym. Nikomu jednak nie było śpieszno, by położyć kamień węgielny pod wspólne dobro. Jenó Goldblat, nie bardziej materialny od reszty, stanął po mojej prawicy i powiedział: „Nikt nie będzie tym pierwszym, Ojgenie. A nuż przyjdzie któremuś do łepetyny głupi żart i wnet takiego na pośmiewisko wystawi. Musisz nas z tej kabały wyciągnąć wszyst-





kich za jednym zamachem.” Cóż mogłem poradzić? Ustawić ich w rzędzie, jak te fiołki, i hucznym „Szluk!” zmusić do wypicia? Nawoływałem raz po raz, lecz widać nikt nie miał odwagi, by być tym pierwszym.

W końcu słońce zniknęło za budynkami na Bahnhofstrasse. Nastal wieczór.

Trzeba było innego rozwiązania. Może jeśli pozostawię fiołki w otwartej budzie, mieszkańcy pójdą po rozum do głowy i zabiorą je pod osłoną nocy? Tak uczyniwszy, wróciłem do kwatery, zamknąłem ją na trzy spusty i położyłem się spać. Przyszła noc, wymęczyły mnie te krzyki i nieudolne próby. Pomyślałem, że przerwa dobrze mi zrobi. Liczyłem na przełom drugiego dnia kwietnia, kiedy to miejski tłum, uwolniony od kądziłości i filuterii prima aprilis, zrezygnuje z psikuszenia i zastosuje się do zaleceń miejskiego alchemika. Zasnąłem tuż po zmroku, a jako że to bzdurne święto wymęczyło mnie do cna, spałem twardo aż do brzasku.

Albercie, jeśli traszkę uznać za niewielką omyłkę, to dziesięć godzin snu było błędem ogromnego kalibru. Miałem się o tym przekonać następnego dnia o poranku. Materializacja zdematerializowanego ciała to zadanie w sam raz dla alchemika. Gorzej jeśli dusze powiązane z tymi ciałami ulatniają się w sobie tylko znanym kierunku. Na nic błagania, okrzyki, słowa zachęty, jeśli nikt nie nadstawia uszu. Na Dworcowej było pusto!

Oparłem się plecami o szorstką cegłę pobliskiej kamienicy. Szczur, który chwilę wcześniej wylazł z piwnicznej wnęki, był mi jedynym kompanem, lecz zniknął równie prędko, jak się pojawił. „Co mōm robić?” – pytałem siebie. Nie mogłem wszak krążyć po całym mieście i natrętnie pukać w okiennice. Skąd w ogóle pewność, że ukryli się we własnych pieleszach? Może zdjęci strachem tkwią, jak ten szczur, w podziemiach piwnic – albo kościelnych katakumbach bądź na szczytach wysokich drzew? Czcze domysły! Nie sposób przewidzieć, czym kierują się dusze pozbawione ciał.

Moja nieujarzmiona wyobraźnia, przeżarta oparami wdychanych przez lata substancji, podsuwała mi rozmaite opcje. Jedne ze sfery profanum: gromadzą się w pomniejszych skupiska, wykradają z opuszczonych sklepów produkty pierwszej potrzeby, erst kommt das Fressen, dann die Moral, pod osłoną niewidni napadają na mieszkańców innych miast. Groza, mój drogi, istna groza! Inne znowu bliższe były sacrum: zebrały się w jeden długi sznur, rwą pokornie do królestwa niebieskiego albo tkwią w kościelnych ławach. Skazani na wieczną samotność, błagają Boga o ratunek, sięgają wzrokiem ponad uliczne gzymsy i ponad drzewne listowie, liczą na chóry anielskie, wniebowstąpienie, kres życia i kres czasu.

Wtem, wyrwawszy mnie raptownie z rozmyślań, objawił mi się doskonały plan, sakralnej zresztą natury. Jednego mogłem być pewien – proboszcz, Servus Dei, z pewnością nie opuścił swojej świątyni. Zaiste, z bożą pomocą rozwiążemy problem nękaający śląskie miasteczko – przyszło mi na myśl. Czegóż to potrzebuje dusza, Albercie? Co przyciągnie je wszystkie w jedno miejsce? Wiara, przyjacielu, wiara! Szczególnie silna, gdy pozbawić człowieka jego wizualnego aspektu. Nie było czasu do stracenia. Ruszyłem do pobliskiego kościoła.

Stary Stefan, proboszcz o dobroci równie wielkiej jak jego głuchota, siedział w jednej z pierwszych ław. Nie widziałem go, rzecz oczywista, lecz wyśpiewywał „Credo in unum Deum Patrem omnipotentem factorem caeli et terrae visibilium omnium et invisibilium” tak donośnym barytonem, że z dokładnością co do stopy pruskiej mogłem określić, gdzie się znajduje. Przedstawiłem pomysł klesze, dając do zrozumienia, iż brak mi jeno jego aprobaty. Ten zapewnił mnie o swoim wsparciu, czemu trudno się dziwić, skoro spragnione liturgii dusze miały wówczas powrócić na swoje miejsce. Nie trwoniąc czasu, rozwiesiliśmy parafialne ogłoszenie na każdym słupie w mieście. Godzinę później stałem samotnie na szczycie kościelnej wieży, tłukąc w mosiężny dzwon z takim zapamiętaniem, że dźwięk ów bez wątpienia dotarł do każdego zakątka miasta.

Tysiące mieszkańców szturmowały wielkie wrota kościoła. Niewidzialni parafianie wpadali do Domu Bożego, zapelniając szerokie ławy lub klęcząc z pokorą przed ołtarzem, zaś pozostali czekali na swoją kolej w niekończącym się krętym wężu. A wszystko po to, by – jak zapowiadały krzykliwe afisze – uzyskać odpust pospołu z maleńką fiołką antidotum. Takie wizje podsuwał mi racjonalny umysł, tak wyobrażałem sobie jedyną rozsądną w tych okolicznościach decyzję bogobojnych osób. Lecz niestety! – musiałem zrewidować oczekiwania. Usłyszałem szczebiot Ziembickiej, biadanie babki od Richterów, pokorne przeprosiny dzwonnika Jana i cichy szept Goldblata. Poza tą czwórka rozległo się jeszcze parę dodatkowych głosów, przeobrażonych kościelnym echem w prawdziwą kakofonię. Trzydzieści osób! Gdzie setki, gdzie tysiące?! Widać obietnica odpuszczenia grzechów nie była odpowiednim haczykiem na szamoczące się po mieście rybki.

I znowu spocząłem na twardym bruku Bahnhofstrasse, zrezygnowany i gruntownie zdrożony. Tym razem towarzystwa dotrzymywała mi moja bratnia, chwilowo nieucieleśniona dusza, Żyd Goldblat. Przyjaciół poznaje się w biedzie – ta złota myśl wybrzmiewała gromkim laudamus, gdy głęboko zgarbiony swoją nie-

mocą, popijałem resztki nektaru jabłkowego. Tak, Albercie, tego samego soku, od którego zaczęły się pierwszokwiatniowe dowcipy. Żart równie nieudany, lecz znacznie mniej zgubny w skutkach niż mój.

„Co robić, przyjacielu?” – pytałem, choć nie oczekiwałem odpowiedzi. Ta jednak nadeszła, bowiem Goldblat miał głowę nie od parady i nieraz zadziwiał mnie swoją życiową mądrością. Mogłem być mistrzem alchemii stosowanej, lecz on, jak mało kto, wiedział, co siedzi w głowach zwykłych ludzi. „Z tym odpustem miałeś niezgorszy pomysł, lecz świat kręci się wokół czegoś innego. Wokół pieniądza, Ojgenie! Daj im złota, a wypiją choćby i kocie szczyny.”

Sulphur i hydrargyrum, siarka i rtęć. Prościej się nie da. Szkopuł w tym, jakich użyć proporcji. Sam dobrze wiesz, Albercie, wszyscy tego próbowaliśmy w czasie studiów. Ach, ten zew złotego kruszcu! Który z nas nie śnił o odkryciu poprawnej receptury? Zamknąłem się w laboratorium na cały miesiąc, szukając odpowiedniej mieszanki. Koniec końcem, zirytowany brakiem sukcesów, próbowałem nawet eksperymentów z bombardowaniem rtęci wolnymi neutronami, lecz nic dobrego z tego nie wynikło. Otóż choćbym poświęcił temu życie, złota nie uwarzę, koniec z oszukiwaniem samego siebie! Mogłem jednak oszukać kogoś innego...

„Roztojmijli, płynne szczyńście! Styknie mały szluk i fortuna sie do wós uśmiychnie! Wartko, wartko, ôferta ôgraniczônô!”. I znów tłumy, znów poczta pantoflowa, znów kordon niewidzialnych krzykaczy, znów lyk za lykiem, uśmiechnięte twarze, radosne poklepywanie po plecach, tulący się do siebie małżonkowie, sąsiedzi wymieniający się przeżyciami, małe urwisy uradowane widokiem swoich kolegów i koleżanek... A wszystko to przyćmione radością po wypiciu barwionego ugrem eliksiru. To już, to zaraz! Fortuna wyszczerzy się do wszystkich!

Oto Świętochłowice wracały do cielesnego życia...

I na tym mógłbym zakończyć tę opowieść, gdyby nie Szłapka, człowiek tyleż pyszałkowaty, co podejrzliwy: „Ludzie, suchejcie, to je szulerstwo! Żödneho szczyńściö z tego niy bydzie. Ojgen, wichlyrz pierziński, doł nöm ta swoja medycyna na niewidzenie.” Wszystkie twarze natychmiast zwróciły się w moją stronę. Nie biło z nich już szczęście, lecz jawna wrogość. Przyśiągłbym, że gotowi byli zabić.

Rozejrzałem się wokół, szukając wyjścia z tej niefortunnej sytuacji. Szłapka z Richtermem i braćmi Świętkowskimi szeptali po kątach, kawalek dalej niewdzięczny tłum zbierał się w zwarty szereg, zdążając rytmicznym lewa-prawa w moim kierunku. Nie było ani miejsca, ani czasu na tonowanie nastrojów, toteż bez wahania zerwałem się do biegu, byle uciec od znerwicowanej tłuszczy. Ze wszystkich wyjść wybrałem wejście – wysoką, stalową bramę do szynku Goldblata. Zabarykadowałem się tam z jego nieocenioną pomocą, niech mu jednemu fortuna to wynagrodzi, wydostałem się tylnymi drzwiami na plac i wskoczyłem do stojącego na nim samochodu. Zanim jednak wyjechałem przez ajnfart, sięgnąłem do kieszeni, w której przypadkiem spoczywała maleńka fiolka niewidni. Czyż nie był to znak, Albercie? Znać los zostawił mi ją pod ręką, bym mógł bez przeszkód wyrwać się z objęć wrogiego mi miasta.

Szłuk, szluk!

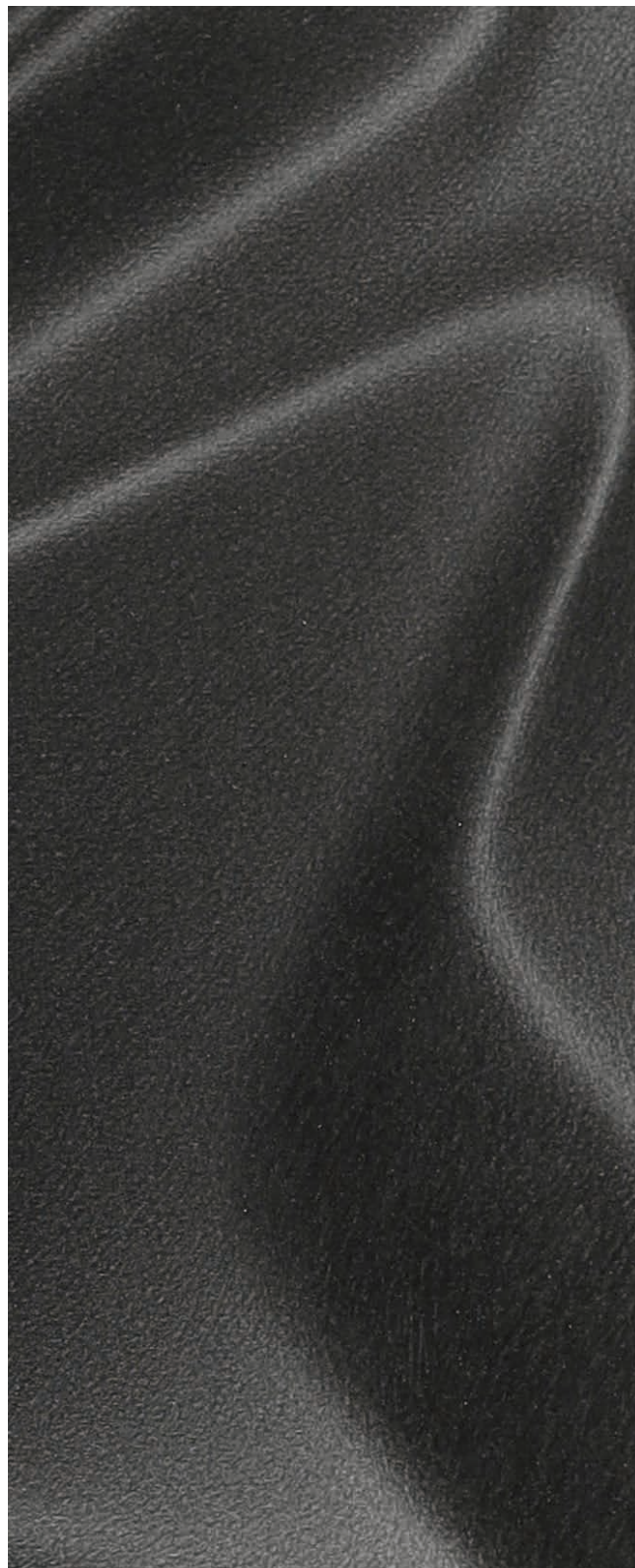
Czarny samochód, zdawać by się mogło, pozbawiony kierowcy, wyjechał przez bramę i czym prędzej ruszył na południe. Te parę sekund zaskoczenia – „Co to za magijö? Auto bez kerujöncego?” – pozwoliło mi minąć rozeźlone dusze obleczone już w człowieczą materię. Zbiegłem, a właściwie powinienem rzec: zjechałem z miejsca zdarzenia. Teraz rozumiesz, skąd ta niepozorna mieścina w nagłówku listu. Kochłowice, tak... Mieścina, w której – jak niektórzy twierdzą – psy dupami szczekają. Lecz cóż z tego? Przynajmniej nic mi tu nie grozi.

Jak widzisz, drobny błąd kosztował mnie przeprowadzkę. Prawdziwe szczęście, że Goldblat, dowiedziawszy się, gdzie rezyduje, dostarczył pełen asortyment mojego laboratorium łącznie z wysuszonym już ogonem przeklętej syberyjskiej traszki.

Od paru dni staram się doprowadzić nowe lokum do stanu użyteczności, szykuję pierwsze alchemiczne mikstury, licząc, że udobrucham nimi kochłowski lud.

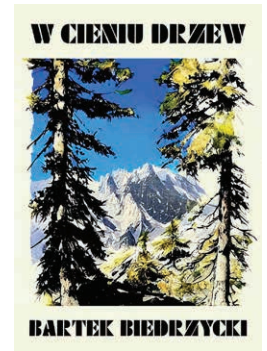
A jako że konsekwencje błędu odczułem na własnej skórze, którą zresztą wygarbowano by mi solidnie, gdybym się zawczasu nie ewakuował, to mam dla Ciebie jedną radę. Weź ją sobie, Albercie, głęboko do serca. Uważaj z żartami, bo nigdy nie wiesz, kiedy niewinny psikus zamieni się w bezduszną tłuszczę, korowód nienawistnych oczu, których nie bawią alchemiczne krotchwile.

Twój kamrat, Ojgen



RECENZJA **BARTEK BIEDRZYCKI W CIENIU DRZEW**

TOMEK
ZIEMBICKI



W swoim charakterystycznym stylu Tomek opowiada o książce Bartka Biedrzyckiego, prawdziwego człowieka-orkiestry. Pisarza, wydawcy, redaktora, komiksarza. Komiks Bartka będziecie mieli okazję podziwiać na kolejnych stronach, a teraz dowiedźcie się, czy warto czytać jego książkę:

Nie wszystko złoto, co się świeci, nie każdy chłop z widłami to Posejdon, nie wszystko też, co w cieniu drzew, nadawałoby się na komedię romantyczną. Tak między nami, to właściwie nic ze zbioru opowiadań „W cieniu drzew” Bartka Biedrzyckiego nie nadawałoby się na komedię romantyczną, choć niektóre nie nadałyby się na komedię, inne natomiast nie nadałyby się na romantyczną.

Nadawałyby się (jeszcze *niektórsze*) za to na literacką wycieczkę do krain młodości, które mamy zachowane w pamięci. Ułomna jest to jednak pamięć, bo choćbyśmy nie wiadomo jakie cuda na kiju pamiętali, to na pewno nie będą one równie magiczne, jak w opowiadaniach Bartka. A może będą – życie wszak pisze najrozmaitsze scenariusze.

Na pewno rozpoznalibyśmy wiele elementów świata przedstawionego, a już na pewno zrobiliby to mieszkańcy Warszawy, a w szczególności dobijający do pięćdziesiątki mieszkańcy Warszawy, wśród nich zaś najszczególniej dobijający pięćdziesiątki mieszkańcy Konstancina-Jeziorny, który wcale jest Warszawą, podobnie jak Belchatów nie leży na Śląsku, a morze w Szczecinie widać jedynie na pocztówce ze Świnoujścia, czyli znad morza. Rozpoznaliby też trochę młodszy, tacy wcześnie czterdziestolatkowie, a i mieszkańcy innych okolic, choć o podobnych do konstancińsko-jeziornych charakterystykach, nie mieliby problemu z odnalezieniem się w tym konkretnie Bartkowym uniwersum.

Rozpoznalibyśmy muzykę, którą się zachwycali bohaterowie, pamiętali, jakie gadzety były na topie i przedmiotem zazdrości kolegów, a w końcu rozumieli dynamikę wewnątrzgrupowych zachowań, bo sami robiliśmy to samo. To samo i tak samo, bo to i tak się wówczas robiło.

Ale to tylko jedno z wielu uniwersów zaprezentowanych w zbiorze.

Jak dowiadujemy się z podpisu pod każdym z opowiadań, powstawały one w ciągu ponad dwóch dekad i tym samym trafiły na różne okresy życia i twórczych fascyna-

cji autora. Są też (niektóre) częścią większych uniwersów, na przykład świata Kompleksu 7215, których pojedyncze historie można znaleźć na łamach rozmaitych zbiorów i periodyków, niektóre doczekały się wydań książkowych, a inne wkrótce się doczekają monograficznych antologii.

Jest tego wiele i jest tego różnorodność wielka, więc każdy powinien znaleźć dla siebie jakieś opowiadanie, które do niego przemówi.

Weźmy na przykład „Taras” – opowiadanie ornitologiczno-wojenne, w którym głównymi bohaterami są ptaki. Zupełnie jak u Hitchcocka.

Albo „Zrobiłem, co musiałem”, czyli klasyczny kryminał noir, bo z deszczem, dokami, zhańbionym gliniarzem przedziergniętym w detektywa, trzema lufami (a każda w innym znaczeniu), burbonem i morderstwem, ale w nieco nieklasycznych Stanach.

W opowiadaniu pod wiele mówiącym tytułem „Incydent” pojawiają się skurwysyny z Procjona, czyli najjaśniejszej gwiazdy w konstatacji Małego Psa, którzy wycięli całemu światu, pod światłym przewodnictwem Chin, numer dekady. Albo nawet wieku. A kto wie, czy nie tysiąclecia.

Mi osobiście najbardziej spodobało się opowiadanie w stalkerowym klimacie pod tytułem „Noc na dużej ziemi”. Nieczęsto zdarza mi się śmiać na głos podczas lektury, a tu się śmiałem. Bohaterem opowiadania jest niejaki Bożokorow – stary wyjadacz i doświadczony stalker, który w zonie spędził tak wiele czasu, że stała się jego drugim domem. A może i pierwszym. Chyba jednak pierwszym... Towarzyszmy mu, gdy po całkiem udanych łowach wraca na łono cywilizacji, choć niekoniecznie ludzkości, lecz miast móc się rozkoszować życiem za uczciwie zachachmęcone fanty, trafia do czeskiej komedii. Ciekawy ten zabieg wywraca na nice całą stalkerską literaturę, w której to zona jest miejscem najbardziej niewiarygodnych wydarzeń, zaś u Bartka jaja zaczynają się na dużej ziemi (rozumieście to zdanie, jak tam sobie chcecie).

A co powiecie na krótką historię o scenie tishowej w kręgu podstołecznym, zatytułowaną „Krótka historia sceny tishowej w kręgu podstołecznym”?

Jest tych opowiadań czternaście, i każdy – jak wspomniałem powyżej – znajdzie coś dla siebie. Okazuje się bowiem, że w cieniu drzew wszystko się zdarzyć może (z wyjątkiem romantycznej).

Ale nie tylko drzewa, i rzucane przez nie cienie, są cichym bohaterem tego zbioru. Pokusiłbym się o stwierdzenie, że jest nim także Warszawa, a dokładniej aglomeracja warszawska. Wiele historii zahacza w większym lub mniejszym stopniu o rodzimym dla Bartka Konstancin-Jeziorny, ale możemy się także pobujać po warszawskim metrze, w całej jego okazałości, a nawet odwiedzić Okęcie. Jest to swoisty hołd dla rodzinnych stron autora, które były świadkami jego dorastania i dojrzewania, były dla niego placem zabaw i przygód, o których rodzice dowiedzieli się mocno po czasie, a być może także pierwszej miłości.

Czym więcej o tym myślę, tym bardziej uważam, że chciał Bartek „W cieniu drzew” wystawić laurkę czasom i miejscom własnego dzieciństwa, a że jest pisarzem fantastycznym, to nie poprzestał na prostym ich na papier przeniesieniu, ale dodał trochę magii, trochę końca świata i sprawił, że co najważniejsze, w cieniu drzew się stało.

SUTENERSTWO ARTYKUŁ WYDAWNICZE I MEDIALNA PROSTYTUCJA - CZYLI CO ZABIŁO BŁĘDNYCH RYCERZY

KLAUDIUSZ

Jeżeli ktoś nie bierze jeńców przy wyrażaniu opinii, jest to Klaudiusz. Człowiek, którego drugie imię to „Rozdrażnienie”, pozostaje wierny temu mianu. Redakcja, zmuszona do wysłuchiwania dziesiątek głosówek na temat stanu polskiej krytyki literackiej, ostatecznie ugięła się, prezentując mu tę rubrykę. Czytacie na własne ryzyko.

Prawdziwych recenzentów już nie ma. Gdzie się podziali, wyparci przez samozwańczych blurbistów i polecaczy z bio na profilu? Ci, którzy wciąż jeszcze wiedzą, że influenza to grypa, a nie sposób na życie? Gdzież jest ktoś, kto nie słodzi, jest ekspertem, niezależnym Don Kichote uzbrojonym w merytorykę i rzetelność, a nie w algorytm i zdjęcia z uśmiechniętą żonką i psem? Zapewne odeszli już i nowych nie będzie, bo w późnokapitalistycznej rzeczywistości wczesnego cyberpunku nic, co prezentuje jakiegokolwiek wartości, nie ma szans przebić się przez okukierkowany łód autopozytywności i samozachwytu, nierzadko graniczącego z samogwałtem.

Właściwie – pozornie – nie ma potrzeby, by jeszcze w ogóle istnieli.

W końcu żaden autor nie chce obawiać się recenzji negatywnych, a tym bardziej takich, które mają umocowanie w czymś dziś niemal enigmatycznym dla pisarzy: w tradycji literatury czy teorii literackiej, spędzającej sen z powiek doktorantom i doktorom. Mamy szczyt wolności, możesz wszak opublikować wszystko!

Nie jest ważne to, czy masz coś do opowiedzenia, a to, jak dużo osób będzie mogło – w przerwie od rolek – zidentyfikować się z Twoimi miazmatami. Nie jest ważne, czy głębokość sięga kałuży szczyln pod knajpą, czy może dowodzić jakichkolwiek przeżyć – liczy się ilość dobrej zabawy. Czytelnik głosuje portfelem i uwagą. Nawet jeśli zdarzy ci się plagiat (tak, w dzisiejszych czasach się on „przydarza”, jak grypa), to nic; osiągnij tysiące wyświetleń na Wattpadzie, a jakiś copywriter pozmienia ci imiona i miejsca, tak, żeby to przeszło.

W końcu to w morzu najłatwiej utonąć, a i też schować każdy element zapożyczonego, czy ukradzonego tekstu. Bo na co komu moralność, kiedy rządzi wszystkim wyłącznie statystyka?

Wróćmy jednak do dzisiejszych recenzentów. Po co przywoływać w tekstach takie nudy jak konwencje, motywy czy tropy? Nie lubi ich ani wszechmocny algorytm, ani młodzi prozaicy. O ileż łatwiej krzyknąć o „czystym odbiorze”. Albo jeszcze lepiej: o „nowym rozumieniu”. Wszystko sprowadza się do emocji, własnej wyszukanej subiektywizacji cukierkolandu. Arbitralne sądy przysyłają subiektywną analizę tak, że właściwie nie spo-

sób rozróżnić doświadczenia od dowolności. Jeśli tekst graniczy z plagiatem, albo „współpracą” z modelem językowym, to nawet lepiej, bo przecież wpasuje się w gusta. Odbiorca i tak nie zauważy.

Po co dziś recenzentowi – a nawet i autorowi – rozumieć gatunek, skoro zamierza się do niego wnieść wyłącznie porno albo kolejną odsłonę tematu tak przejechanego, że portowa latawica przy tym jawi się jak cna i skromna dzierlatka? Bez wiedzy można sprzedać wszystko. A kiedy wiedza zostaje pogrzebana na tyle głęboko, że staje się nieznaczną, tym lepiej. Nikt się nie kapnie! Hulaj duchu pozytywnego wzmocnienia. Nie ma sensu umawiać się już z czytelnikiem na konwencję, bo do tego służył gatunek. Dowodził, że zarówno autor, jak i odbiorca wiedzieli, co jest komunikatem i czego się po nim spodziewać, a dziś przecież wszystko może być czymkolwiek, tylko zechce. A ta frywolność w zrywaniu umowy nie tylko psuje sam tekst, ale i odbiorcę, bo nie ma on już informacji o tym, z czym obcuje. Nie da się złamać konwencji, jeśli się jej nie zna.

Wtórność mierności i ciągly samozachwyty sprawiają, że zarówno recenzenci, jak i sami autorzy, dzielą już nie tylko pieczołowicie pielęgnowaną demencję, lecz także narcyzm. Nikt nie trzyma ręki w pobliżu hamulca bezpieczeństwa. Liczy się oglądalność, ssanie postu i śmieszność. Sens jest zbędny. I tu niestety nie ma co rozgraniczać; widać to również w edukacji, gdzie tytuły robi się na wierności, a nie umiejętnościach, a medialna autopromocja pożera wszystkich. Może jeszcze gdzieś są rodziniki w tym serniku, ale w zalewie symulakrów pozostają na marginesie rzeczywistości, stając się rodzinikami Schrödingera.

Niemniej, w zgodzie z zasadą *docere et delectare* (łac. „nauczać i bawić”), warto przypomnieć, a w niektórych przypadkach w ogóle oznajmić pewnym gagatkom, czym recenzja była i czym jest. Recenzja to teza z dowodem. Zbadaniem i wskazaniem struktury, języka i intertekstualności. Często brzmi brutalnie. A dowód dokładnie punktuje dłacze. Stanowi jednak istotny punkt odniesienia do czegoś więcej niż sześciuset stron grafomańskiej manii zidiociałego wierszoklety. Każda recenzja, podobnie jak każdy skrawek tekstu, który produkujemy jako ludzkość, jest subiektywna. Tym jednak, co odróżnia dobrą krytykę od reszty nieszczęsnych prób marnowania znaków, jest analiza. Wymaga ona jakichkolwiek zdolności poznawczych, choćby na poziomie umiejętności przeczytania hasła w Wikipedii.

W dobie AI, które zawsze przygotowuje generyczną pochwałę opartą na tysiącach podobnych zapytań, zanikła potrzeba poszukiwania wartościowych tekstów. W końcu lepiej skalować pochwały, niż narażać się na ostracyzm krytyki. Wraz z upadkiem autorytetów upadła też potrzeba nadawania tonu nowym publikacjom. Krytycy byli ludźmi obeznanymi, a co ważniejsze, kochającymi literaturę miłością niezdrawą, nastoletnią, aż po

grób. Wojownikami o jakość i nowość. Nie byli nieomylni. Dostojewski również obrywał. Jednak to dzięki nim literatura żyła w napięciu. Krytycy sprawowali, jak pisała Sobolewska, pewnego rodzaju władzę. Zarówno symboliczną nad rzędami dusz, jak i strukturalną, nad jakością dzieł. Surową, ale wskazującą miejsca fermentu. Recenzent był drogowskazem dla autora. Pokazywał, co działa, a co umarło. Wzbudzał chęć mordu, polemiki, odpowiedzi. Sprawiał, że tekst żył albo umierał w schronie niebytu. Krytyka porządkowała, osadzała w kontekstach i w zniechęcającym dziś gatunku.

Ale spróbujmy wskazać faktycznego zabójcę recenzji. Czy naprawdę są nim wyłącznie miernoty publikujące każdy skrawek swojej twórczości? Po części nie. Tekst stracił wartość inną niż reklamowa, przede wszystkim przez mechanizmy rynkowe. W Cyberpunku winne są korporacje. W naszej rzeczywistości: wydawnictwa. Każdy ich produkt jest swoistym majstersztykiem, oddawanym niemal półdarmo, często poniżej kosztów. Marketing stał się substytutem niesionej wartości. Bo krytyka nie wygeneruje natychmiastowego zwrotu od kupującego, nie polechta ego żadnej strony, ale sprawi, że chociaż odrobinę będziemy się rozwijać. W takiej sytuacji nikomu nie zależy na konfrontacji z krytyką, zwłaszcza wykształconą, analityczną, wyszkoloną. Książka przestała być dziełem. Stała się produktem, opakowanym w celofan.

Kolejnym sztyletem są czasopisma branżowe. Zamknęły się na realną krytykę, wybierając autopromocję i kolesiostwo. Po co się wysilać, skoro lepiej napić się z autorem i gnić we własnym sosie. Profilowanie czasopism zaczyna przypominać klasyfikacje zaburzeń psychicznych. Liczy się linia polityczna, trend i nagroda powiązana z redakcją.

Ostatnim bastionem – i brzmi to jak dowcip – faktycznej wielkiej myśli było getto fantastyki. Piwniczne trolle zwykle prezentowały poziom świadomości zbliżony do najlepszych publicystów, ale tam też getto chowu wsobnego zrodziło patologię. Właściwie „liczy się” wyłącznie ilość kontaktów i umiejętność odpowiedniego cmokania krągłych półksiężyców tego czy innego prezesa. To daje możliwość zaistnienia. A przecież było tak pięknie, był tam taki potencjał – świadomi odbiorcy, wolni od manieryzmów i gier. To w dusznych akademikach szło na noże i godziny dyskursu. Ale fandomowość rozbroiła i te ostrza. Zamiast tworzyć spory ideowe przeszliśmy do networkingu. Bo po co rzucać kamieniami do cudzych szyb? Don Kichote umiera w biedzie, a Dawid zawsze ostatecznie przegrywa z Goliatem w regulacji kultury.



KTÓRĘDY DIALOGI DROGA WIEDZIE AUTORA?

MACIEJ
SZMAJDZIŃSKI
i
ŁUKASZ
WILKAN

Maciej Szmajdziński i Łukasz Wilkan. Pierwszy: to już doświadczony autor, dwie książki za pasem, trzecia w drodze. Drugi: to „późny” debiutant, pierwszą powieść publikuje w tym roku, za to dłużej obijał się po magazynach i konkursach z opowiadaniem. Obaj w poczuciu misji postanowili wyważyć otwarte na oścież drzwi. Jak to błędni rycerze mają w zwyczaj.

Łukasz: Fakt numer jeden: w Polsce wydaje się rocznie między trzydzieści a trzydzieści cztery tysiące książek (dane Biblioteki Narodowej z ostatnich zbadanych pięciu lat). W roku 2024 (ostatni dostępny rok jak na razie) wyszły dokładnie trzydzieści tysięcy sześćset sześćdziesiąt dwa tytuły.

Maciej: Fakt numer dwa: w Polsce istnieje (zarejestrowanych w bazie ISBN) około sześćdziesiąt osiem tysięcy podmiotów prowadzących działalność wydawniczą. Oczywiście nie każdy taki podmiot wydaje książki co roku i nie każdy podmiot wydaje w ogóle cokolwiek. W zeszłym roku aktywnych wydawców książek było na rynku około dwa tysiące pięćset.

Ł: Statystyki publikowane przez Bibliotekę Narodową niestety nie mówią, jaka część z tych tytułów to nowości.

M: Szkoda.

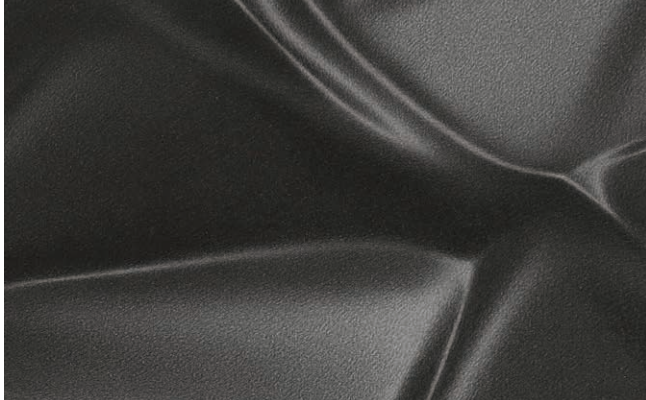
Ł: Nie mamy też żadnych danych na to, jak rynek wydawniczy wyobraża sobie czytelnik.

M: Może i rzeczywiście nie mamy, ale jeżeli mielibyśmy zgadywać (tak, niezwykle naukowe podejście), raczej dość bezpiecznym założeniem powinno być, że standardowy model wydawniczy, oczami czytelnika, to tak zwany „model tradycyjny”.

Ł: Tradycyjny, czyli jaki?

M: Czyli autor zgłasza się do wydawcy, proponuje swoją książkę, wydawca radośnie przystaje na warunki, opłaca koszt redakcji, korekty, druku, ilustracji, okładek oraz dystrybucji.

Ł: A jako że wyklada też niemałą sumę na reklamę, to książka automatycznie staje się bestsellerem i na wszystkich splywa deszcz złotych monet.



M: Może warto zauważyć jeszcze jedno: jeśli cokolwiek w tym modelu nie zagra właściwie, to wszelkie ryzyko finansowe pozostaje po stronie wydawnictwa.

Ł: Czyli autor zostaje ze strzaskanymi marzeniami, ale przynajmniej bez długów?

M: To chyba właściwe postawienie sprawy.

Ł: Zabraliśmy się do rozmowy, nie mając tak naprawdę twardych danych, ale – uczciwie mówiąc – tych nie da się do końca zebrać. Bardzo trudno stwierdzić, jaka część rynku to ów mityczny „model tradycyjny”, ale idąc naszą ulubioną metodą, czyli „wydaję mi się”, założę na potrzeby tej dyskusji, że lwia część wydawców to jednak podmioty tradycyjne.

M: Ostrożnie z tym stwierdzeniem. Nie doceniasz modelu alternatywnego, czyli selfpublishingu. Samowydawcy na polskim rynku zaczynają zaznaczać swoją obecność bardzo wyraźnie.

Ł: Masz jakieś dane, mądralo?

M: Pewnie cię zaskoczę, ale tak, coś tam mam – na podstawie danych dostępnych tylko z jednego źródła: Empik Selfpublishing, da się dziś zebrać realne liczby. Według informacji za 2025 rok na platformie zostało wydanych około jedenaście i pół tysiąca e-booków i audiobooków oraz blisko półtora tysiąca książek papierowych. Na koniec 2025 r. na platformie działało prawie jedenaście tysięcy aktywnych autorów.

Ł: Pozwól mi wziąć kalkulator. Tysiąc pięćset podzielmy na trzydzieści jeden tysięcy...

M: Co ty liczysz? Barany?

Ł: Wiem, znowu nienaukowo. Mieszam dane, jakie mam. Średnio w ostatnich pięciu latach wydano trzydzieści jeden tysięcy tytułów, w 2025 roku Empik wydał selfpublisherom tysiąc pięćset. Z grubsza licząc udział w rynku to pięć procent.

M: Okej, wyszliśmy od liczby wydawców, a skończyliśmy na liczbie wydanych książek. Ale co tam, zatańcz z tobą: co te liczby rzeczywiście znaczą – to, że selfpublishing w Polsce jest dziś realnym i szybko rosnącym segmentem rynku. Przekładając to na wcześniejsze liczby: zawodowych, aktywnych wydawców jest w Polsce dwa i pół tysiąca. Ale obok większych graczy blisko półtora tysiąca osób fizycznych wydało też książkę samodzielnie.

Ł: Właśnie, osób fizycznych, a nie zarejestrowanych podmiotów.

M: I jak sam zauważyłeś, zawojowali już blisko pięć procent rynku.

Ł: Wszystko pięknie, ale dlaczego w ogóle podjęli taki właśnie krok?

M: Powodów może być wiele, jednym z nich jest fakt, że owszem, wydawca ponosi ryzyko wydawnicze, zwłaszcza gdy mówimy o debiutancie, ale też musi to sobie później zrekompensować zy-

skiem. Nie każdy autor to rozumie, albo nie każdy się na to godzi. Plus, oczywiście, dochodzi jeszcze mityczny czas oczekiwania na odpowiedź wydawcy tradycyjnego. Można osiwieć, zanim się doczekasz.

Ł: Maćku, jak długo szukałeś swojego wydawcy?

M: Ja nie jestem najlepszym przykładem, ponieważ pierwszą ofertę wydawniczą wysłałem w czasie epidemii Covidu. W tamtym czasie wydawcy bardzo bali się podejmować jakiegokolwiek ryzyko, ceny papieru wystrzeliły w stronę nieba, magazynowanie książek kosztowało krocie, a i tak wszystkie magazyny były zawałone towarami, ponieważ łańcuch dystrybucyjny został przerwany, często wstrzymywano wszelkie druki i terminarz wydawniczy przestał być w jakikolwiek sposób aktualny.

Ł: Weźmiemy to pod uwagę, a teraz przestań się krygować i odpowiedz na pytanie.

M: W styczniu 2021 roku wysłałem swoje pierwsze maile. Mój obecny wydawca odezwał się do mnie półtora roku później.

Ł: Półtora roku. Dobra. A ile maili zdążyłeś wysłać? Dziesięć, pięćdziesiąt? Sto dwadzieścia? Jak bardzo byłeś zdeterminowany?

M: Na dziś nie jestem w stanie dokładnie powiedzieć, ale prowadziłem kiedyś statystyki, znalazło się tam około czterdziestu pozycji. Niestety, podczas porządkowania szuflady, któregoś razu, papier ten trafił do kosza.

Ł: Zdążyłeś zwątpić w sens całego przedsięwzięcia?

M: W tygodniu, w którym odezwał się mój przyszły wydawca, zacząłem właśnie nową redakcję książki. Było to niemalże pisanie na nowo. Pierwowzór nowego głównego bohatera stał się później załącznikiem protagonisty z drugiej części.

Ł: To powiem ci, że i tak poddałeś się szybko, ja swoje pierwsze zwątpienia miałem dopiero po dwóch latach zupełnej ciszy i okazjonalnych odmów, przy wysyłaniu drugiej propozycji wydawniczej.

M: No, dobra, ale dlaczego w ogóle o tym rozmawiamy?

Ł: Ponieważ wspomniałeś, że jednym z powodów, dla których ludzie decydują się na selfpublishing jest czas oczekiwania. Rok, dwa lata, pięć. Odmowa wydania jednej książki, drugiej, trzeciej. Można się załamać. Ale też nie każdy chce wydawać książkę samemu. Już to, że boi się ryzyka, już to, że nie ma doświadczenia, już to, że inny prestiż takiego wydania. Czy jest jakaś droga pomiędzy?

M: O nie! Czyli od samego początku dążyłeś do tej rozmowy! Dla tego mnie tu zwabiłeś?

Ł: Brzmi jakbym cię zmuszał, a ja cię zwyczajnie przekupiłem. Ale skoro już jesteś, i masz bardzo wyraźne stanowisko, to przypominę, że istnieje takie zjawisko, dość spory segment wydawniczy, z którego prawdopodobnie przeciętny odbiorca literatury nie zdaje sobie sprawy. Mówię o wydawnictwach typu POD (czyli print on demand) którego odmianą będzie też Empik Selfpublishing oraz – przede wszystkim – vanity, czyli „próżnościowe”. Tak nazwali je Amerykanie. Jednak vanity wiedzą, co o nich sądzi świat, dlatego uciekają od tej nazwy jak potwór Frankensteina od ognia. Widziałem nawet, że zaczynają się określać mianem modelu subsydiowanego – pięknie, prawda? Tak po polsku. Co więcej, przyznają, że vanity to zło, ale oni są czymś lepszym, profesjonalną alternatywą.

M: Skoro już męczysz biednych ludzi tym tematem, to wyjaśnij dokładnie, o co w takim modelu chodzi.

Ł: Najprościej? Napisałem książkę i uważam, że ludzie powinni ją natychmiast przeczytać, w tej chwili, już! Nie będę czekał miesiącami i latami na decyzję (albo już się na nią tyle naczekałem, że mam dość), ale też nie znam się na samowydawaniu, wolę pisać, niż zgłębiać ten temat, dlatego płacę za wydanie powieści specjalistycznemu podmiotowi. To w dużym skrócie model vanity. Co o nim myślimy?

M: Niewiele dobrego usłyszysz z mojej strony. Samo założenie nie jest złe. Jeśli autor ponosi koszty wydawnicze, wydawca minimalizuje ryzyko finansowe publikacji debiutanta. Z kolei sam autor, po pierwsze, udowadnia własnymi pieniędzmi, że w projekt wierzy, a po drugie – jest finansowo zmotywowany do promowania własnego dzieła.

Ł: A przy tym w ogóle nie musi się znać na tych wszystkich technicznych szczegółach jak skład, łamanie, redakcja, wybór papieru, drukarni, dystrybutora...

M: Dokładnie tak. Tym się to, najprościej ujmując, różni od selfpublishingu: mamy wszystkich specjalistów w jednym miejscu. Płacimy za kompleksową usługę, nie tylko za drukarnię, ale i za “opiekę” nad autorem. Tyle w teorii.

Ł: Praktyka pokazuje, że obietnice takich wydawnictw, składane na etapie podpisywania umowy, nie zawsze znajdują pokrycie.

M: Ano, nie zawsze. Często usługa korektorka jest marna, wykonywana przez stażystów lub studentów, z całą do nich sympatią, redakcja zasadniczo nie istnieje, ponieważ specjalistyczny redaktor nie został ujęty w umowie...

Ł: No ale chwila, wydawnictwo tradycyjne może zrobić to samo, kto ich powstrzyma? Policja wydawnicza?

M: Bardzo śmieszne. Rynek ich powstrzyma. Jeśli inwestujesz pieniądze, jesteś niezwykle wyczulony na własną renomę. Najprościej rzecz ujmując: wydawnictwo vanity weźmie pieniądze za usługę i ono z tego właśnie żyje, jemu nie zależy wybitnie, czy książka się sprzeda, czy nie. Nie twierdzą oczywiście, że rezygnują z tego złośliwie, albo celowo wprowadzają w błąd. Tak po prostu wygląda ich model biznesowy. Wydawnictwo tradycyjne zyski ma gdzieś indziej, ono musi przekonać czytelnika do zakupu, a jakość wydanego tytułu, dowolnie rozumiana, to najlepsza reklama (choć i tutaj znajdziemy wyjątki od reguły).

Ł: A propos reklamy. Czytałem na forach skargi autorów, którzy mówili, że działania marketingowe ich wydawców to post na fejsbuku...

M: Każda reklama to koszt. Fejsbuk jest za darmo.

Ł: Model tradycyjny gwarantuje szerszą reklamę?

M: Nie, absolutnie nie, ale model vanity raczej też nie rwie się do płacenia za promocję. Swego czasu był taki case wydawcy, który obiecywał międzynarodową reklamę. W praktyce okazywało się, że chodziło o dwujęzycznego posta na social mediach.

Ł: No i właśnie, a całe ryzyko zostało przy zawarciu umowy sprytnie przerzucone na kupującego usługę, czyli autora.

M: Są wydawcy, którzy zapisują sobie w umowie warunek wykupienia przez autora wszystkich zalegających egzemplarzy po określonym czasie.



Ł: I być może to jest sedno: taki wydawca nie ponosi innego ryzyka, poza może magazynowaniem, a tu jeszcze się okazuje, że tylko na określony czas. Ale jeśli drukuje na życzenie (po zakupie przez klienta, głównie przez internet), czyli wspomniane print on demand, to nawet tego nie musi robić.

M: To zupełnie inaczej niż w modelu tradycyjnym.

Ł: Który jest zasadniczo odwrotnością przedstawionej sytuacji. Czy uważasz, że powinniśmy się spotkać w środku?

M: W jakim sensie?

Ł: Dostałem kiedyś propozycję od niemałego wydawcy, na rynku nieźle sobie radzącego. Otóż debiutantów wydaje on tylko za dopłatą ze strony autora. Potem w zależności od wyników sprzedaży można mówić o modelu tradycyjnym, ale nie doszedłem w rozmowie do etapu, w którym wyszczególnialiśmy działania marketingowe ze strony wydawcy, zrezygnowałem przy haśle: za dopłatą.

M: Ciekawe podejście. Ale to znowu teoria. Wracamy więc do początku: założenie nie jest złe.

Ł: No ale może krzyczymy po próżnicy? W początkach istnienia literackiego świata autor przecież sam ponosił wszystkie koszty i ryzyko, dopiero dziś przyzwyczailiśmy się do wygodnego życia. Dziś byśmy chcieli same zyski, zero obowiązków.

M: Świat się wyspecjalizował, czasy się zmieniły. A w związku z tym to duzi gracze dyktują dziś warunki. Oni mają siłę przebicia i możliwość dotarcia do szerokiego odbiorcy. Ale też w związku z tym, ograniczając ryzyko, nie chcą wydawać niepewnych tytułów i autorów, nie mówiąc już nawet o niszowej tematyce.

Ł: Czyli co? Potępiamy w czambuł i twierdzimy, że autorzy wydawnictw vanity to nieudacznicy?

M: Tu się puknij. Absolutnie tej sytuacji nie są winni autorzy. W najgorszym razie są to naiwni twórcy goniący za marzeniami, nieznający realiów, albo nierozumiejący, że ich powieść, skoro nikt jej nie przyjął, jest zła. W najlepszym jednak wypadku to pechowcy, którzy nie mieszczą się w wydawniczych ramach albo piszą eksperymentalnie, albo...

Ł: Dobra, dobra. Jak ich odróżnić? Którym należałoby pomóc, których promować, a których nie?

M: Tu pojawia się dylemat moralny, którego nie umiem przeskoczyć. Jak dla mnie jedyny sposób na wykorzenie patologii z rynku, to niepromowanie autorów vanity w ogóle. Tak, jest to przykre i być może krzywdzące (w końcu może zdarzyć się sytuacja, w której absolutna perełka jakimś zrzędzeniem losu trafiła do vanity), ale nie widzę innej drogi. Pomagając autorom, jednocześnie wspierasz vanity, czyli pokazujesz światu, że model jednak działa. Uroboros zjada własny ogon, krąg się zamyka.

Ł: A nie wylewamy tak dziecka z kąpielą? Są przecież autorzy, którzy zaczynając tak, odnieśli sukces!

M: W mojej ocenie to ci, którzy i tak, wcześniej czy później, odnieśliby ów sukces w tradycyjnym modelu. Może po prostu, na pewnym etapie, zabrakło im cierpliwości – a dokładnie tego wymaga ten rynek: cierpliwości. I twardej dupy.

ARTYKUŁ **HUMOR W CIEMNO- SCIACH**

ADAM
SOŁTYS

Adam, drużynowy papuga i filozof, za każdym jednym razem zaskakuje głębią przemyśleń i wnikliwością dociekań. Nosi zabawny kapelusz, z którego wyciąga jak króliki złote myśli. Od lat pisze książkę i obiecuje, że zdąży ją zredagować, zanim definitywnie minie moda na czytanie.

Mrok, brutalność, chaos, brak klarownego podziału na dobro i zło¹, władza² i niejednoznaczne postawy moralne bohaterów. Do zbioru cech klasycznie kojarzonych z grimdarkiem (i szerzej: dark fantasy) raczej nie zaliczylibyśmy humoru. Gdzie w krainach krwi i trupami płynących znajdzie się miejsce na śmiech?

Prawdopodobnie nie na pierwszym planie i nie w oczywistych miejscach. Wystarczy jednak, że odsuniemy odrobinę zasłonę ciemności, a bez trudu ujrzymy przejawy humoru. Znajdziemy go w Pierwszym Prawie i Epoce Oblędu Joe Abercombiego, Kronikach Czarnej Kompanii Glena Cooka i Pieśni Lodu i Ognia George'a R. R. Martina. Nie tylko dopełnia on wielopłaszczyznowe kreacje postaci, lecz także stanowi istotną przeciwwagę dla poruszanej tematyki.

Tyrion Lannister nie byłby Tyrionem Lannisterem bez sarkastycznych komentarzy, czarodzieje Jednooki i Goblin z trudem wyróżniałyby się z tłumu, gdyby nie ich pokrętne sztuczki, a pozbawiony cynicznych przemyśleń inkwizytor Glokta, straciłby wielu fanów. Dla każdego z wymienionych bohaterów humor stanowi istotną część charakteru, urealnia ich jako ludzi. Sceptycy poprzestaliby w tym miejscu, uznając, że autorzy zwyczajnie rozumieją, że śmiech jest szalenie ważny w życiu każdego człowieka i należy o tym pamiętać przy budowaniu wielowymiarowych postaci, nawet jeśli owym postaciom przyszło żyć w ponurym i okrutnym świecie. Jednak humor w mroku odgrywa znacznie większą rolę i sięga głębiej.

Na poziomie fabularnym, w każdym z wymienionych przykładów śmiech jest tarczą, mieczem i odpowiedzią. Zniszczony przez przeszłość, przytłoczony teraźniejszością, okaleczony fizycznie i zmordowany psychicznie Glokta do mistrzostwa opanował otaczanie się ochronną warstwą humoru. Abercombe pozwala nam często na wgląd w myśli bohaterów i widzimy dokładnie, jak wrzucony w trudne sytuacje inkwizytor mówi jedno, a robi coś zupełnie innego. Przygniatany presją psychiczną, zmuszany jest podejmować niewyobrażalnie obciążające decyzje, a traumy przeszłości odciskają na nim piętno. Z pomocą przychodzi

śmiech. Glokta doskonale wie, jak bardzo został zraniony, a humor, którym się posługuje, nie służy trywializacji problemów, lecz jest świadomą odpowiedzią na krzywdy. Żarty pozwalają na dystans, który staje się kołem ratunkowym, chwilą ulgi i szansą na oddech.

Jeszcze wyraźniej widzimy to u Tyriona. Zdeformowany, borykający się z niepełnosprawnościami, od urodzenia jest obiektem kpin. W świecie, w którym aparycja dostojników przekłada się na wpływy, człowiek o wyglądzie odstającym od normy, jest na gorszej pozycji. Tyrion szybko uczy się, że w grze o tron nie można liczyć na litość, a każdy przejaw słabości zostaje wykorzystany przez głodnych władzy przeciwników politycznych. Przyjmuje poniżające komentarze, często zaskakując tym innych, żartuje z siebie i jednocześnie drwi z tych, którzy nieudolnie go wyśmiewają. Stara się wyciągnąć z niesprzyjających okoliczności tyle, ile potrafi. Lata przemocy psychicznej, której doświadczył i której negatywne skutki starał się zniwelować, zahartowały go na przyszłość. Szereg skomplikowanych relacji rodzinnych zbudowanych na fundamentach upokorzeń utwierdził go w przekonaniu, że jest zdany tylko na siebie. Nauczył się, że słowa, choć nieraz nieprawdopodobnie krzywdzące, można obrócić przeciwko tym, którzy je wypowiedzieli. Czy powinno się brać na poważnie belkot zapatrzzonego w siebie głupca? W niebezpiecznym świecie Pieśni Lodu i Ognia teatr okrucieństwa rozgrywa się nie tylko na polach bitew, w starciach wielotysięcznych armii, lecz także w umysłach poranionych ludzi. W starciu słów i gestów trwającym całe życie, przed mrokiem i brutalnością nie chroni miecz z valyriańskiej stali, a dobrze zaostrzony humor.

Tyrion i Glokta wybierają śmiech, by osłonić się przed światem, umożliwić sobie funkcjonowanie w nieprzyjaznych realiach wścigu o władzę, gdzie nie liczą się środki, a cel. Odpowiadają na okrucieństwo sarkastycznymi komentarzami i kąśliwymi uwagami; walczą z mrocznymi realiami humorem. Jednooki i Goblin pełnią inną rolę. Magia, z której korzystają zepchnęła ich na skraj obłędu. Regularnie rywalizują w pokazach absurdalnych, blazeńskich sztuczek, które przykuwają uwagę ich towarzyszy. Sami czarodzieje czerpią ogromną przyjemność z podrasowanych psikusów rodem ze szkolnej ławki, ale dla reszty kompanii wygłupy są czymś więcej. Żaden najemnik nie przyzna się do tego otwarcie, ale w zmęczonym wojną, grabieżami, pełnym mordów i śmierci świecie odrobina śmiechu jest zbawienna. To ona pozwala pozostać przy zdrowych zmysłach tym, którzy obserwują obłęd innych. Jest w tym gorzka ironia, coś niewypowiedziane smutnego. Jednak to właśnie humor trzyma przy życiu nadzieję. Bez niego pozostaje rozpacz.

Oprócz warstwy fabularnej umieszczenie humorystycznych wstawek w tekście pełni jeszcze jedną rolę. Wielokrotnie przywoływana charakterystyka mrocznych światów z pozoru nie pozostawia miejsca na lekkość, jednak nagromadzenie zbyt wielu ciężkich elementów uniemożliwiłoby pełne i głębokie obcowanie z historią. By poczuć rozpacz, trzeba znać beztroskę. By ból bohaterów prawdziwie zabolął, wcześniej musi pojawić się radość. By mrok był przerażający i przytłaczający, kluczowe jest ukazanie tego, czym grozi poddanie się. Czytelnik musi oddychać. Flaki w ściekach, urwane głowy toczące się po ulicach, ludzie wbici na pal, krew w rzekach – i cała reszta tego, co czyni grimdark grimdarkiem – dobrze, jeśli zostaną przeplecione zabawą, bo inaczej nawet najbardziej wyrafinowana wizja pozbawionego nadziei świata stanie się mdła.

¹ Stasiewicz, P. (2025). „Grimdark fantasy” i kwestia światotwórstwa na przykładzie cyklu „Pierwsze prawo” Joe Abercrombiego. *Bibliotekarz Podlaski*, 67(2), 297–321. <https://doi.org/10.36770/bp.1052>

² Persson, A. B. (2021). Notes towards gritty fantasy medievalism, temporality, and worldbuilding. *Fafnir: Nordic Journal of Science Fiction and Fantasy Research* 9 (2), 69–81.

O KONIECZ- ARTYKUŁ NOŚCI WKURWU

TOMEK
ZIEMBICKI

Tomek dla przyjaciół, Wąsaty Hejter dla wrogów, a generalnie – po prostu wielki człowiek. Dobre dwa metry i sto kilo wagi. A najcięższe są w tym wszystkim przemyślenia. Przyjaciół bawią kwiecistym językiem i pokrętnymi nawiązaniami, wrogów przygniatają do ziemi wagą argumentacji i bezkompromisowością osądów. Wszyscy – z różnych powodów – czekamy na jego nowe Tyrady z jednakowym napięciem.

(Pierwotny tytuł tego tekstu brzmiał „O wartości tyrad”, ale stwierdziłem, że – domniemany w nim – czas na dobrowolność dawno już minął)

Chyba pod każdym tekstem, w dowolnym medium, poświęconym krytyce dowolnego aspektu kultury czytelniczej i książek w ogóle, znaleźć można głosy ludzi, którzy podobną krytykę dawno już uprawiali, argumenty przeczuli do bezgrudkowej papki, żadnych zmian nie zauważyli i już im się zwyczajnie nie chce. I choć rozumiem, że po jakimś czasie takie uderzanie głową w mur może się znudzić, a głowa rozboleć, to uważam także, że bić w mur głową należy. Choć najlepiej nie swoją.

Nihil novi sub sole, więc i w czytelniczym półświatku mieli się wciąż jedne i te same tematy, w czym nie ma w sumie nic dziwnego, wszak i problemy są wciąż te same.

Pozwólcie, że się trochę rozpiszę.

Szczerze wierzę, że prawdziwa zmiana musi wyjść od samych zmian zainteresowanych, czyli od ludu. Historia pokazuje, że odgórnie narzucane idee żyją bardzo krótko albo do ich podtrzymania potrzebny jest zamordyzm, a jako że dyktatura czytelnictwa nie dotyczy, pozostaje nam opcja numer jeden, czyli żadnych zmian.

Jeśli więc chcemy, by coś się zmieniło, sami musimy tę zmianę przeprowadzić. A żeby było komu to zrobić – po to właśnie należy krytykę uprawiać.

Problem należy zidentyfikować, przeanalizować jego genezę, a na koniec – zaproponować rozwiązanie. I takie rozwiązanie musi zostać przez lud czytający miast i wsi zaimplementowane. I choć dla starych wygów książkowych będzie to odgrzany kolejny raz kotlet, tak dla książkowych szczawików będzie to zapewne pierwsze zetknięcie z danym problemem. To w świeżakach jest nadzieja, to oni mają siły i chęci, i nie zdążyli jeszcze stać się starymi cynikami. To przyjdzie z czasem.

To w dużej mierze do nowych skierowane są te odezwy, apele, tyrady i wkurwy. Głównie, ale nie tylko.

Czyli po pierwsze – krytykę należy uprawiać, bo choć krytykowane problemy są stare jak świat, to mogą dotyczyć wciąż to nowych ludzi. Warto edu-

kować ludzi, pokazywać, jak działa świat, by sami nie wpadli w kłopoty.

Po drugie – pamięć ludzka jest ułomna, a że problemy okołoksiążkowe nie należą do najważniejszych, to nie zaprzatają naszej uwagi tak, jak inne, co skutkuje tym, że o nich zapominamy.

Dla niektórych dopiero któraś z kolei krytyka może trafić na czas, kiedy nie dzieje się nic innego i który będą mogli przeznaczyć na zajęcie się poruszanym tematem. Pełnią więc wówczas takie teksty rolę przypominaczy, a pewnie i niewielkich wyrzutów sumienia.

Chciałoby się, by problemy rozwiązywały się same, a kłopoty w przyjemności zmieniały, ale nie ma czegoś takiego w czytelnictwie jak magiczna szafa w mieszkaniu u rodziców. Problemy musimy rozwiązywać sami, ale musimy najsamprzód o nich pamiętać, szczególnie o tych, które niekoniecznie dotyczą nas samych, a czytelnictwa w ogóle.

Czy wiecie, po co wielkie marki typu Coca-Cola lub Pepsi wciąż się reklamują? Nie po to, by zapoznać ludzi z ich produktami, bo zna je każdy, ale po to właśnie, by ich produkty były na wierzchu. Podobnie być może z kolejnymi krytykami – przypominają one o tym, że konkretny problem wciąż nie został rozwiązany i wymaga naszej uwagi.

Powód trzeci jest zbliżony do poprzedniego, ale skierowany do nieco innej grupy ludzi. O ile pierwszy dotyczy żołtodziobów, a drugi weteranów ze sklerozą, o tyle ten dotyczy również weteranów, ale takich, którym już się nie chce.

Trochę to smutne, gdy ludzie, którym – jak sami mówią – też się kiedyś chciało, zniechęceni brakiem zmian, walkę zaniechują. Dla nich może być taki apel przypomnieniem, że są jeszcze ludzie, którym się chce, a to może obudzić dawnego ducha walki.

Trochę większym wyrzutem sumienia.

Czwartym powodem, dla którego warto wciąż walczyć pewne tematy jest to, że niektórym członkom czytelniczej braci zdarza się nieco odkleić od rzeczywistości i zachowywać w sposób karygodny, a będący przedmiotem krytyki.

Przyjmijmy dobronudownie, że nie wzięło się to ze złośliwości albo makia-welicznego traktowania innych, a z zaślepienie lub zapomnienia. Może ktoś kiedyś walczył z czymś, ale z czasem i zmianą własnego punktu siedzenia nastąpiła zmiana punktu widzenia. Takim ludziom należy przypomnieć, że złe zachowanie jest złym zachowaniem, niezależnie od tego, kto się zachowuje.

Dla takich właśnie będą ponawiane krytyki całkiem niemałym wyrzutem sumienia i jeśli ktoś zupełnie się w niecnocie nie zatracił, jest szansa, że wyprostuje on swe ścieżki.

Podsumowując, pełnią owe krytyki czworaką rolę: edukacyjną, przypominającą, mobilizującą i piętnującą. Każda jest równie ważna, każda jeź konieczna.

I choć wydawać by się mogło, że temat został zamknięty, to wcale tak nie jest. Bo gdzie tu wkurw, gdzie koniec dobrowolności?

Otóż nie jest w moim stylu ani moim celem uprawiać tu edukację. Edukuję zawodowo, a z charakteru bliżej mi do choleryka, więc będę tu klął i wytykał palcami, bo to też jest potrzebne. Wytknięto mi kiedyś, że mogę swoim tonem i stylem zrazić ludzi do siebie i przeciw sprawie.

Tak się nie stanie.

EKOLOGICZNY HORROR ARTYKUŁ I TECHNOLOGICZNA APOKALIPSA: TRANSGRESJE GATUNKOWE W LITERATURZE KLIMATYCZNEJ ADAM MOCNY XXI WIEKU

Coś dla posiadaczy mocnych nerwów oraz fanów literatury zaangażowanej. Adam, współzałożyciel Stowarzyszenia Inicjatywa Kulturalna, udowadnia, że zarówno kultura, jak i inicjatywa to słowa mu nieobce. W czysto akademickim stylu przybliży nam problematykę literatury klimatycznej, używając do tego wielu strasznych słów.

Literatura klimatyczna XXI wieku – określana często jako climate fiction lub cli-fi – wyrasta z doświadczenia, w którym przestaje działać dawny podział na naturę jako stabilne tło i kulturę jako sferę ludzkiej sprawczości. Kryzys klimatyczny odsłania środowisko jako aktora: dynamicznego, nieprzewidywalnego, uwikłanego w sieci technologii, ekonomii i polityki, a zarazem wymykającego się ludzkiej skali postrzegania. W tym punkcie szczególnie użyteczne staje się pojęcie hiperobiektyw Timothy’ego Mortona: zjawisk i bytów tak rozległych w czasie i przestrzeni, że nie dają się ująć w jednym obrazie ani w jednym doświadczeniu, choć realnie organizują codzienność. Globalne ocieplenie, radioaktywność czy ocean plastiku działają właśnie jak hiperobiekty – są wszędzie i nigdzie zarazem,

a ich skutki przychodzą falami, punktowo, z opóźnieniem, często w postaci lokalnych objawów większej całości. Jeśli klimat jest hiperobiektem, to literatura staje wobec paradoksu: ma opowiedzieć o czymś, czego nie da się zobaczyć w całości, co rozsadza skalę narracji i ciągu przyczynowo-skutkowe, a jednocześnie domaga się afektywnego przepracowania.

Ta rozpiętość skali – od lokalnej fali upałów po planetarne procesy atmosferyczne – wprowadza do prozy nowy rodzaj napięcia: katastrofa nie jest pojedynczym wydarzeniem, lecz procesem. W takiej sytuacji klasyczne gatunki przestają wystarczać, bo każdy z nich dotyka tylko fragmentu doświadczenia.

Science fiction potrafi modelować przyszłość i opisywać konsekwencje systemowe. Horror potrafi nazwać afekt skażenia, lęk i obrzydzenie wobec przenikania się ciała z toksyczną materią. New weird oferuje estetykę radykalnej obcości, w której świat traci status przejrzystej sceny dla działań człowieka. Ekofantastyka staje się więc przestrzenią hybrydyzacji – i właśnie tu pojęcie transgresji okazuje się kluczowe nie jako ozdobnik terminologiczny, lecz jako narzędzie rozumienia, dlaczego ta literatura wygląda tak, a nie inaczej.

Transgresja w ujęciu genologicznym oznacza proces przekraczania norm, zasad i granic organizujących literaturę: zarówno granic między gatunkami, jak i granic między literaturą a tym, co pozaliterackie. W tradycyjnym myśleniu o genologii gatunek stabilizował oczekiwania odbiorcze: sugerował, jak czytać tekst, jakie emocje i jakie reguły świata uznać za obowiązujące. Transgresja rozszczelnia tę bańkę. Nie polega wyłącznie na prostym mieszanii konwencji, lecz na ujawnianiu ich umowności i niestabilności. Tekst przestaje być zapisem w ramach gotowej formy, a staje się aktem jej naruszania, próbą wyprodukowania nowej adekwatności wobec doświadczenia. W tym sensie można mówić o „poetyce transgresji”, w której przekroczenie nie jest dodatkiem do fabuły czy stylu, tylko samym mechanizmem organizującym literackość. Transgresja działa więc jako siła innowacyjna, ale też jako siła kwestionująca: podważa autorytety estetyczne, normy obyczajowe, tabu i tradycyjne wyobrażenia o tym, czym jest literatura oraz jaką ma relację do świata.

Jeśli przenieść to na grunt ekofantastyki, widać, że transgresja nie jest tu jedynie formalną zabawą postmodernistyczną. Jest konsekwencją sytuacji, w której sam przedmiot opowieści – antropocen, kryzys klimatyczny, technologiczno-ekologiczne splątania – jest „transgresyjny” ontologicznie: przekracza granice między ludzkim i nieludzkim, naturalnym i sztucznym, lokalnym i globalnym, przeszłością i przyszłością. Literatura, aby to uchwycić, musi przekraczać swoje własne granice. Stąd tak częsta hybrydyzacja SF, horroru i new weird. Nie jest to instrumentalny eklektyzm, tylko próba znalezienia formy dla doświadczenia, które wymyka się jednemu rejestrowi. Transgresja staje się tu narzędziem poznawczym: miesza porządki, bo rzeczywistość została zmieszana.

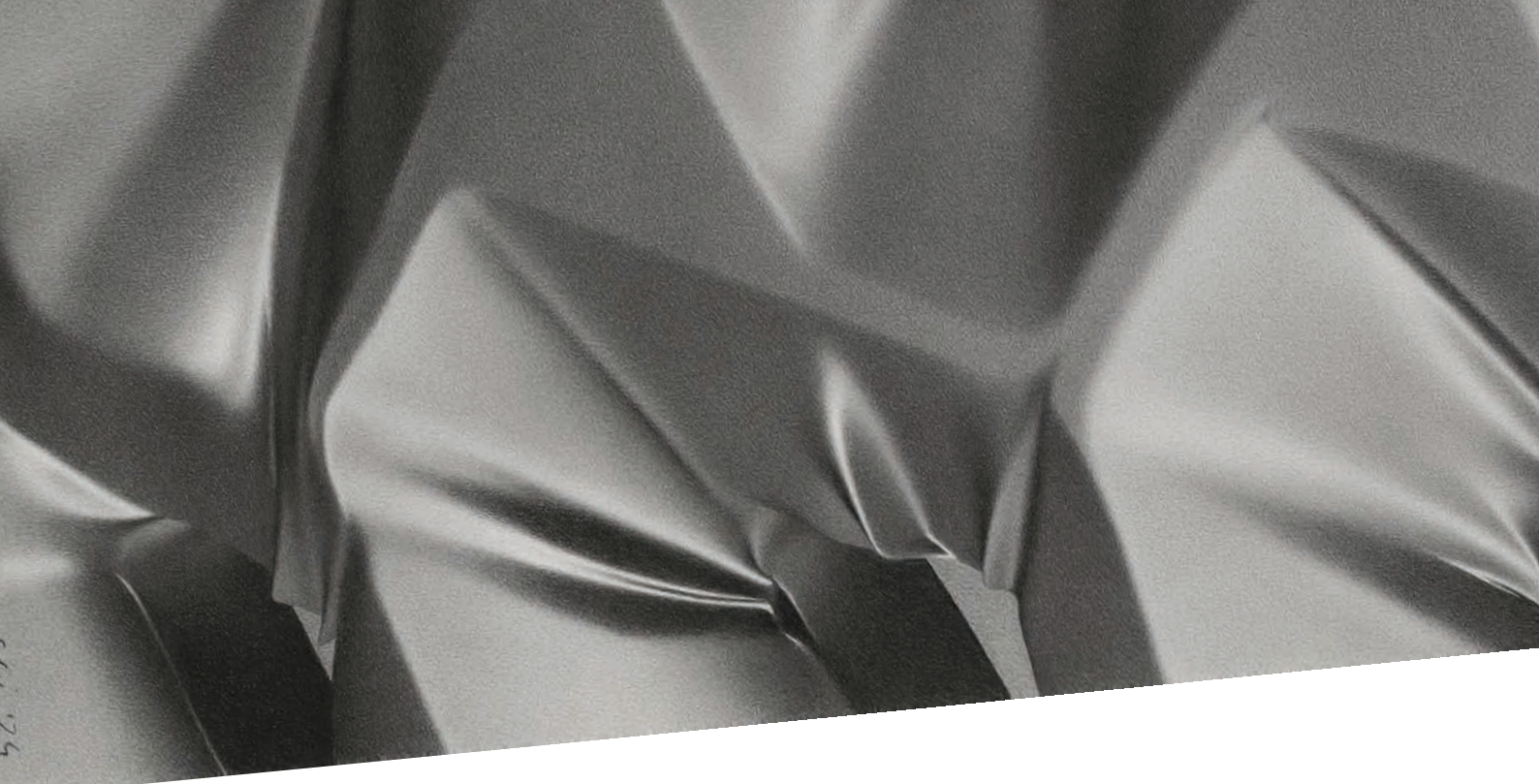
Warto zauważyć jeszcze drugi wymiar: transgresja dotyczy także relacji literatury do rzeczywistości. W literaturze klimatycznej granica między fikcją a raportem, między estetyką a dokumentem, między afektem a dyskursem naukowym bywa celowo

naruszana. Jest to reakcja na paradoks współczesnej katastrofy: z jednej strony dysponujemy ogromem danych, modeli i prognoz, z drugiej te dane nie przekładają się automatycznie na doświadczenie, wyobraźnię i działanie. Tekst transgresyjny może więc wchodzić w obszar pozaliteracki po to, by skompensować deficyt odczuwalności kryzysu. W takim ujęciu cli-fi często działa jak literatura pogranicza. Potrafi przyjąć formę thrillera, dystopii, gotyku, a nawet quasi-eseju czy pseudo-raportu, bo dopiero taki pakiet strategii pozwala zbliżyć się do skali i złożoności opisywanego problemu.

Jednym z najważniejszych skutków tej transgresyjnej dynamiki jest zmiana figury potwora. W horrorze klasycznym groza często przychodziła z zewnątrz. W ekohorrorze potworność bywa immanentna i rozproszona: tkwi w powietrzu, wodzie, glebie, w mikroskopijnych cząstkach i w łańcuchach pokarmowych, a więc w tym, co przenika i miesza porządki. Przekroczenie granic – między ciałem a środowiskiem, między wnętrzem a zewnątrz – staje się doświadczeniem podstawowym. Z tego punktu widzenia ekohorror jest praktycznie gotowym narzędziem transgresji. To gatunkowy język opowieści o naruszeniu granic, tyle że w XXI wieku naruszenie to ma często charakter technologiczny i systemowy. Skażenie, odpady, radioaktywność, plastik, pestycydy czy niewidzialne toksyny nie tyle atakują ciało, ile je współtworzą, a literatura – wchodząc w rejestr grozy – intensyfikuje świadomość tej współzależności.

Na tym tle new weird okazuje się szczególnie efektywnym sojusznikiem, bo jego „dziwność” jest formą transgresji epistemologicznej. Dziwność polega na tym, że świat przestaje dawać się uporządkować przez dotychczasowe kategorie. Ekofantastyka chętnie korzysta z tego mechanizmu, ponieważ kryzys klimatyczny i technologia wytwarzają sytuacje graniczne, w których klasyczne języki kontroli zawodzą. Biotechnologia, inżynieria środowiska, infrastruktury energii i wody uruchamiają narracje o człowieku, który próbuje panować nad systemem, a jednocześnie odkrywa, że system jest większy niż jego wyobrażenia i stworzone procedury. I właśnie w takim miejscu transgresja staje się widoczna jako poetyka. Tekst nie tylko opisuje przekraczanie, lecz sam „przekracza” – miesza style, rejestry, porządki poznawcze, rozrywa stabilność form.

Modelowym przykładem jest Anihilacja Jeffa VanderMeera. To powieść, która jednocześnie działa jak ekspedycyjna science fiction, jak horror strefy skażenia i jak opowieść weird



o załamaniu się granic między człowiekiem a środowiskiem. Area X nie jest tu po prostu miejscem grozy. Jest ekologiczną anomalią, która przechwytuje i przetwarza życie, wciągając w swoją logikę także instytucje i język wiedzy. Naukowe procedury i dyscyplina obserwacji nie gwarantują tu poznania, lecz odsłaniają bezradność aparatu poznawczego. Groza rodzi się nie tyle z agresji potwora, ile z rozpadu podmiotowej spójności. Człowiek nie potrafi już oddzielić „ja” od tego, co środowiskowe. Z perspektywy transgresji w genologii istotne jest to, że nie da się tej książki przypisać jednemu gatunkowi. Jej sens powstaje dokładnie na styku reżimów czytania: inny jest rodzaj lęku, gdy traktujemy ją jak SF o nieznanym zjawisku, a inny, gdy czytamy ją jak horror o naruszeniu granic ciała i języka.

Inną, równie znaczącą trajektorię pokazuje Margaret Atwood w trylogii MaddAddam, zwłaszcza w Oryx i Derkacz. Tutaj technologiczna apokalipsa jest logicznym skutkiem kapitalistycznej biopolityki: życie staje się tworzywem, a przyszłość – produktem. Katastrofa nie jest „wypadkiem przy pracy”, lecz konsekwencją systemu, który uznał biosferę za laboratorium, a człowieka za platformę wdrożeniową. W tym sensie Atwood spleta dystopię z grozą biologiczną: ciało, geny i populacja stają się polem eksperymentu, a granica między „naprawą” a „wytwarzaniem” życia zaciera się. To bardzo charakterystyczne dla ekofantastyki: technologia jest tu jednocześnie obietnicą i fatum, a apokalipsa nie tyle zamyka historię, ile ujawnia, że stworzony model człowieczeństwa był kruchy i przemocowy.

Paolo Bacigalupi idzie jeszcze mocniej w stronę ekologicznego techno-noir, łącząc klimat, biotechnologię i brutalność późnego kapitalizmu. Zarówno w biopunkowej Nakręcanej dziewczynie, jak i w Wodnym nożu – thrillerze osadzonym w realiach konfliktów o wodę – groza wypływa z systemu, jest instytucjonalizowana. U Bacigalupiego katastrofa jest cielesna: jest pragnieniem, upałem, migracją, pełną przemocy walką o zasoby, a zarazem jest systemowa: wynika z korporacyjnego zarządzania życiem i z asymetrii w dostępie do technologii. Tu hybryda gatunkowa pełni funkcję poznawczą. Thriller daje tempo i napięcie, dystopia dostarcza logiki systemu, a ekologiczny lęk wiąże oba poziomy w jedno doświadczenie, które jest niemal „zbyt realne”, bo przesuwają się tylko o pół kroku w przyszłość.

Z kolei Kim Stanley Robinson w *The Ministry for the Future* pokazuje biegun bardziej „dokumentalny”, w którym literatura klimatyczna zbliża się do eseju i raportu. U niego apokalipsa zaczyna się od konkretnego wydarzenia – zabójczej fali upałów – ale później rozwija się jako opowieść o próbach zarządzania katastrofą: o polityce, finansach, technologiach redukcji emisji, społecznych konfliktach i moralnych dylematach. To także transgresja, tylko innego rodzaju: zamiast wchodzić głębiej w weird lub horror, Robinson miesza fikcję z formami dyskursywnymi, jakby sugerował, że sam problem klimatu wymusza nowy typ narracji, w którym emocja i procedura muszą współistnieć.

Polskie przykłady dobrze pokazują, że hybrydyzacja nie jest tylko importem z literatury anglosaskiej, lecz lokalnym sposobem mierzenia się z globalną sytuacją. Jasność Mai Wolny wykorzystuje figurę awarii nuklearnej, aby opowiedzieć o świecie po katastrofie, w którym skażenie działa jak długotrwała, niewidzialna obecność. Atom w tym ujęciu staje się emblematem nowoczesnej grozy: technologii, która obiecuje kontrolę nad energią, a jednocześnie produkuje toksyczny czas – czas liczony nie w dniach i latach, lecz w dekadach i pokoleniach. To szczególnie istotne w kontekście literatury klimatycznej, bo uczy myślenia o katastrofie jako procesie, który zostaje w środowisku i w ciele.

Inną strategię widać w prozie, która nie potrzebuje spektakularnego końca świata, by wygenerować napięcie. W *Samosiejkach* Dominiki Słowik i w *Renecie* Barbary Klickiej zmianę klimatyczną można czytać jako narastające, rozlane poczucie, że świat traci dawną regularność, a czas przestaje mieć oczywistą strukturę. W takich narracjach ekologiczny lęk przychodzi nie w postaci jednego apokaliptycznego wydarzenia, lecz jako erozja codzienności, w której pojawiają się znaki przesunięcia: drobne anomalie, poczucie obcości miejsca, rozchwianie rytmu życia, których wcześniej się nie zauważało. To szczególnie ciekawe w kontekście new weird, bo dziwność może być efektem minimalnego odchylenia: świata, który jest „prawie jak dawniej”, tylko już nie daje się zamknąć w dawnych kategoriach.

Szczególnie interesującym polskim przykładem transgresji w obrębie ekofantastyki jest projekt *Chłopi 2050* czyli *Agronauci* w czasach katastrofy klimatycznej Cezarego Zbierchowskiego – sluchowisko, które wykonuje skok jednocześnie intertekstualny i genologicznie wywrotowy. Bierze na warsztat najbardziej kanoniczny model polskiego realizmu (Reymontowskich *Chłopów*) i przepisuje go na język cli-fi z domieszką

technothrillera oraz ekologicznego niepokoju. Transgresja polega tu nie tylko na mieszaniu konwencji, lecz także na przekroczeniu granicy między literaturą a dyskursem pozaliterackim. Wizja roku 2050 jest świadomie podparta realnymi scenariuszami katastrofy, przez co fikcja upodabnia się do ostrzegawczego raportu, a jednocześnie zachowuje dramatyzm opowieści o wspólnocie, konflikcie i przetrwaniu. Na poziomie świata przedstawionego to właśnie sprzężenie technologii i kryzysu ekologicznego wytwarza nową postać grozy. Roboty, drony czy egzoszkielety funkcjonują obok siekier i widel, a rolnictwo przesuwa się do hangarów i instalacji, gdzie naturalne staje się infrastrukturą. Woda i żywność zyskują status dóbr strategicznych, a wieś – zamiast idylli – przypomina strefę napięć klimatyczno-społecznych, w której migracje i niedobory zmieniają relacje sąsiedzkie oraz hierarchie lokalnej władzy. Jednocześnie bohater wnosi do tej panoramy wymiar afektywny: katastrofa nie jest tylko tłem, ale doświadczeniem przeżywanym w żalobie, traumie i uporze codzienności, co sprawia, że hiperobiekt klimatu ujawnia się jako coś nieogarnianego w całości, lecz dotkliwego w pojedynczych objawach i decyzjach. W efekcie „Chłopi 2050” pokazują, jak ekofantastyka potrafi przekroczyć granice gatunku i medium (klasyczna powieść realistyczna przetworzona w futurystyczne słuchowisko), a przy tym wykorzystać transgresję jako narzędzie krytyczne. Z jednej strony dla gry z tradycją, z drugiej by wymusić na odbiorcy nowe rozpoznanie tego, czym jest „polska wieś”, „postęp” i „katastrofa” w epoce kryzysu klimatycznego.

W ramach pewnej dygresji popkulturowej warto również zauważyć, że narracje antropocenu przenikają do literatury dla młodszych odbiorców. Miasto Złotej Daniela Chmielewskiego i Magdy Rucińskiej określane jest jako „horror urbanistyczny dla najmłodszych”. To ważny sygnał kulturowy: ekohorror staje się nie tylko estetyką, ale i narzędziem edukacji afektywnej – uczenia, jak czuć i nazywać lęk środowiskowy.

W tym miejscu widać pełny sens wprowadzenia transgresji jako kategorii interpretacyjnej. Ekofantastyka, zwłaszcza w odmianach łączących horror, SF i new weird, nie jest po prostu zbiorem sposobów na opowieść o klimacie, ani zestawem chwytów „na apokalipsę”. Jest przestrzenią, w której literatura testuje swoją zdolność do reagowania na rzeczywistość o zmienionych parametrach. Transgresja napędza tę reakcję, ponieważ pozwala jednocześnie wynajdywać nowe formy i podważać stare bezpieczne wyobrażenia. Wymusza na odbiorcy redefinicję tego, czym jest dopuszczalna ekspresja i jaką funkcję ma literatura. Czy ma być tylko reprezentacją świata, czy też narzędziem przejścia przez granice doświadczenia epoki, w której naturalne i technologiczne przestały być rozłączne.

Ostatecznie ekologiczny horror i technologiczna apokalipsa okazują się być dwoma językami opisu tej samej epoki. Świata, w którym środowisko zostało wciągnięte w obieg techniczny, a technika – w obieg biologiczny. Transgresja gatunkowa nie jest tu estetyczną fanaberią, lecz odpowiedzią formalną na splątanie, które stało się podstawowym faktem życia społecznego i biologicznego. Dlatego ekofantastyka tak często pracuje na pograniczach. Tam, gdzie kończy się pewność gatunku, zaczyna się możliwość nowego języka dla katastrofy, która jest równocześnie materialna, planetarna, cielesna i głęboko intymna.

Bibliografia

Źródła

1. Morton, Timothy, *Hyperobjects: Philosophy and Ecology after the End of the World*. University of Minnesota Press, 2013.
 2. <https://www.jeffvandermeer.com/blog/2009/06/28/the-new-weird-anthology-notes-and-introduction>
 3. Piechota, Dariusz, „W kręgu fikcji klimatycznej (climate fiction). Na marginesie lektury Lotu Motyla Barbary Kingsolver oraz Jasności Mai Wolny”, *Humanistyka i Przyrodoznawstwo* 28 (2022).
 4. Piechota, Dariusz, „Świat na skraju katastrofy ekologicznej w Samosiejkach Dominiki Słowik i Renecie Barbary Klickiej”, *Humanistyka i Przyrodoznawstwo* 30 (2024).
 5. <https://www.theguardian.com/books/2013/may/31/global-warning-rise-cli-fi> Lawrence Buell, „Toxic Discourse”, *Critical Inquiry* 24, nr 3 (1998): 639–665.
- Teksty literackie
- Bacigalupi, Paolo. *Nakręcana Dziewczyna*. Wydawnictwo Mag, 2022.
 - Bacigalupi, Paolo. *Wodny Nóż*. Wydawnictwo Mag, 2015.
 - Klicka, Barbara. *Reneta*. W.A.B., 2023.
 - Robinson, Kim Stanley. *The Ministry for the Future*. Orbit, 2020.
 - Słowik, Dominika. *Samosiejki*. Wydawnictwo Literackie, 2021.
 - VanderMeer, Jeff. *Anihilacja*. Wydawnictwo Znak Jednym Słowem, 2025.
 - Wolny, Maja. *Jasność*. Wydawnictwo MANDO, 2019.
 - Atwood, Margaret. *Oryks i Derkacz*. Proszyński i S-ka, 2017.
 - Zbierzchowski, Cezary. *Chłopi 2050, czyli Agronauci w czasach katastrofy klimatycznej*. Storytel Original, 2020.
 - Chmielewski, Daniel. *Miasto Złotej*. Wydawnictwo TADAM, 2018.

ARTYKUŁ **ZORZA**

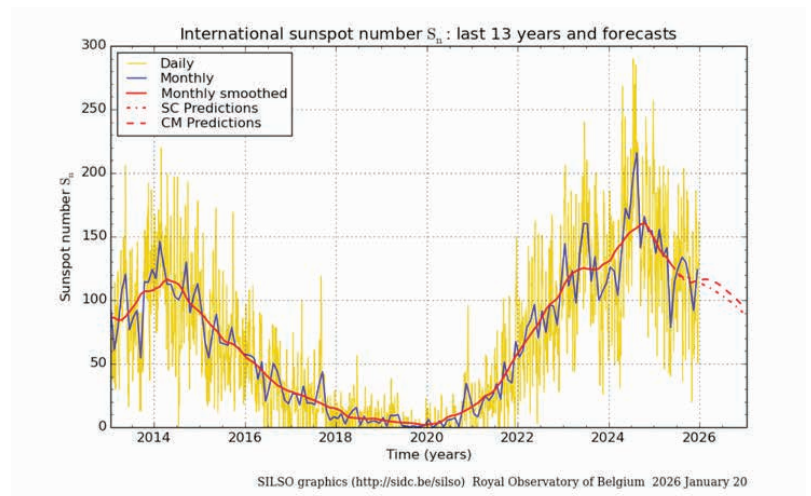
MACIEJ
SZMAJDZIŃSKI

Maciej jest naszym pokładowym nerdem-naukowcem. Mówi o sobie, że jest amatorem, jednak jego fascynacja i entuzjazm (które, pomimo drastycznej redakcji, wybijają również w tekście poniżej) co najmniej równoważą braki merytoryczne, i tak pieczołowicie uzupełniane. Być może jego największą miłością (poza tworzeniem pewnego wspomnianego w tekście cyklu literackiego) jest astronomia. Wydaje się więc naturalnym, że przedstawia się czytelnikom właśnie w tej dziedzinie.

Na zorzę polarną polowałem od dobrych dwóch lat, czyli czasu, na który przypadł pik aktywności słonecznej obecnego, dwudziestego piątego cyklu – jeden średnio trwa około jedenastu lat. Wtedy to, w nocy z 11 na 12 maja 2024 roku, przegapiłem spektakularne zjawisko świetlne, które rozgościło się nad Polską (jej przyczyną było aż sześć kanibalizujących, koronalnych wyrzutów masy – CME). Co prawda, następne miesiące przynosiły kolejne burze geomagnetyczne, jednak albo u mnie nie było odpowiednich warunków pogodowych, albo dostrzeżenie zorzy gołym okiem pozostawało niemożliwe. A to mnie absolutnie nie satysfakcjonowało.

Dlatego czekałem, czasami cierpliwie, kiedy indziej z rezygnacją, będąc pogodnym z faktem, że Słońce „wygasza” aktywność (podobny cykl równie dobrze może się już nie powtórzyć za naszego życia, a obserwacja zorzy w Polsce być czymś sporadycznym i jedynie na północy kraju).

Poniżej poglądowo, jak to wyglądało w ostatnich trzynastu latach:



No i doczekałem się, a efekty były – dosłownie – nie z tej ziemi.

Wieczorem 19 stycznia 2026 roku, wychodząc na zewnątrz, nie liczyłem na wiele – może na delikatną smugę na północy, złapaną w obiektywie telefonu po długim naświetlaniu. Tymczasem już po pierwszym kroku zostałem uderzony w twarz przepiękną czerwienią, która rozciągała się na całej północy. Ręce zaczęły mi się trząść. Zawolałem żonę, która nie miała już zamiaru wychodzić, i pobiegłem na ogród, uruchamiając aparat i ustawiając odpowiednie parametry.

To było dokładnie to, co chciałem przeżyć – zobaczyć zorzę gołym okiem, bez wsparcia technologii kumulującej fotony. Jednak nie zdawałem sobie sprawy, że spektakl dopiero się rozpoczął, będąc na wczesnym etapie, a atmosfera zaplonie i zatańczy nie tylko szkarłatem, ale również zielenią (w praktyce mogą wystąpić też inne kolory, w tym niebieski, żółty czy różowy). Czerwień jest charakterystyczna dla wyższych warstw atmosfery, około 200 km nad powierzchnią Ziemi, natomiast zieleń pojawia się niżej – na wysokościach rzędu 100 – 150 km. Co ważne: za kształt i dynamikę zorzy odpowiada głównie układ ziemskiego pola magnetycznego oraz zmienność strumienia naładowanych cząstek docierających od Słońca, podczas gdy skład atmosfery decyduje przede wszystkim o barwie emitowanego światła.

Jednak po kolei... Jak to się w ogóle dzieje, że jakiś tam CME robi nam kolorki na niebie?

Otóż koronalny wyrzut masy nie jest skumulowanym światłem. To w rzeczywistości gigantyczna chmura plazmy – miliardy ton naładowanych cząstek, głównie protonów i elektronów – posiadająca własne pole magnetyczne. Skąd ona się bierze?

Ruchy gorącej plazmy we wnętrzu Słońca nieustannie splatają i napinają linie pola magnetycznego. Przebijają się one lokalnie przez powierzchnię gwiazdy, tworząc aktywne obszary i plamy słoneczne. Nad nimi powstają ogromne pętle magnetyczne. Zdarza się, że taka struktura traci stabilność, zrywa się i zostaje wyrzucona w przestrzeń kosmiczną właśnie jako CME. Jeśli materia ta kieruje się w stronę Ziemi, pojawia się szansa na zorzę polarną.

Można więc wyobrazić sobie CME jako bańkę naładowanej materii pędzącą przez kosmos. Jak już wspomniałem, taka chmura niesie ze sobą własne pole magnetyczne, które wchodzi w interakcję z magnetosferą Ziemi. I tu sytuacja zaczyna przypominać spotkanie dwóch magnesów – wszystko zależy od ich wzajemnego ustawienia. Jeśli pole CME jest skierowane przeciwnie do ziemskiego, dochodzi do swoistego „rozpięcia” linii pola magnetycznego, które otwiera drogę cząstkom do wnętrza magnetosfery. To właśnie ten układ znacząco zwiększa szanse na powstanie intensywnej zorzy polarnej.

Burza geomagnetyczna, której byliśmy świadkami, została wywołana przez jeden szybki CME (dotarł do Ziemi w dwadzieścia pięć godzin, chociaż standardowo trwa to od dwóch do czterech dni) i osiągnęła kategorię G4 – według skali NOAA – czyli bardzo wysoką, niemal ekstremalną G5. To między innymi tempo podróży wyrzutu sprawiło, że burza była tak silna. Dodając do tego wręcz wymarzone warunki atmosferyczne – w praktycznie całej Polsce nie było ani jednej chmurki – otrzymaliśmy jedno z najpiękniejszych zjawisk pochodzenia kosmicznego, i to już w styczniu.

Bardzo możliwe, że 2026 rok przyniesie nam jeszcze zorzę do

Polski. Szczerze polecam nie przegapić okazji, aby popatrzeć na tańczące na niebie kolory, bo nie wiadomo, kiedy i czy w ogóle będziemy mieć ku temu ponowną sposobność. Kolejny cykl szykuje się spokojniejszy, co udowadnia historia, a i następny (za dwadzieścia dwa lata!) może nie dorównać obecnemu.

Na koniec ciekawostka.

Dwudziesty piąty cykl nie jest wcale najsilniejszym w znanej nam historii. Warto wspomnieć chociażby o zdarzeniu Carringtona z 1859 roku, kiedy to do Ziemi dotarł monstrualny koronalny wyrzut masy. Jego skutkiem była nie tylko przepiękna zorza, ale również... płonące urządzenia telegraficzne i liczne awarie systemów telekomunikacyjnych (poprzez indukowanie prądu w przewodnikach wskutek zmian pola magnetycznego). Było to więc na początku ery elektryczności – efekty można było nazwać uciążliwymi, raczej nie niebezpiecznymi.

A co by było, gdyby zdarzenie Carringtona przeniesić do XXI wieku?

Wskazuje się, że burza geomagnetyczna o podobnej sile sprawdziłaby na świat jeden wielki blackout, z którego nie wiadomo kiedy byśmy byli w stanie się podnieść (może nigdy). Jeśli więc ktoś nadal poszukuje genezy Końca z pewnego cyklu postapo, może właśnie znalazł odpowiedź.

Jednocześnie uspokajam: od jakiegoś czasu sukcesywnie wszystkie sieci są zabezpieczane na tego typu ewentualność.

Pozostaje tylko pytanie, czy zdążymy...

*

- Proces powstawania zorzy polarnej jest dużo bardziej złożony i skomplikowany. Powyżej opisałem niewielki procent tego, co się dzieje i ma wpływ między innymi na jej kolor oraz kształt, niejednokrotnie stosując uproszczenia. Zachęcam do zgłębienia tematu i zapoznania się z materiałami wspomnianych poniżej popularyzatorów nauki – na ich wiedzy opierałem się podczas pisania.

- Astrofaza: <https://www.youtube.com/watch?v=SMBfFB9PYI8>

- AstroLife: <https://www.youtube.com/watch?v=clyoaYQmMEc>

Ponadto informacje czerpałem ze stron:

- <https://www.sidc.be/>

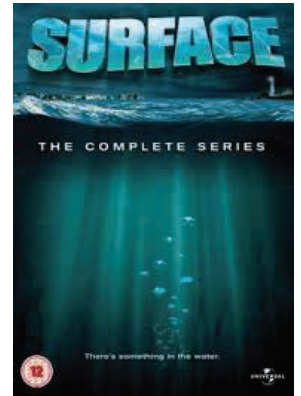
- <https://www.spaceweatherlive.com/>

- oraz czasopisma „Urania Postępy Astronomii” – numer 4/2024 (832).

Konsultacje merytoryczne: Piotr Urbankiewicz, któremu serdecznie dziękuję.

SURFACE - NIEDOKOŃCZONE OPOWIEŚCI NR 1 NA POWIERZCHNI

SIRMINFO



Sirminfo, czyli Marcin, pokładowy maruda, troll większy od naczelnego, miłośnik Babylon 5, Firefly, Star Wars i Pierścieni Władzy. Spec od retrogejmingu i starego sprzętu komputerowego. Za największe życiowe osiągnięcie uważa uruchomienie Dooma na ziemniaku.

W 2005 roku czternastoletni Miles Barnett znajduje na brzegu oceanu dziwne jajko. Zabiera je ze sobą do domu i umieszcza w akwarium. Niedługo później wykluwa się z niego dziwna jaszczurka. Zachwycony chłopak nazywa ją Nimrod i postanawia zostawić jako swoje zwierzątko.

W tym samym czasie Laura Daugherty, biolog morski, podczas misji badawczej w batyskafie, zostaje zaatakowana przez coś zamieszkujące dno morskie. Jest przekonana, że to nieodkryty dotychczas gatunek, być może żywej skamieliny z czasów mezozoiku. Niestety okazuje się, że wojsko już od dłuższego czasu wie o zagrożeniu i robi wszystko, aby sprawę zatuszować. Mundurowi łapią nawet jedno z tych stworzeń i w trakcie eksperymentów okazuje się, że jest ono znacznie dziwniejsze, niż się na pierwszy rzut oka wydaje.

Próbująca nagłośnić sytuację Laura zostaje zwolniona z pracy. Badając dalej sprawę na własną rękę, trafia jednak na Richarda Connelly'ego, którego brat został wciągnięty w głąb oceanu przez jedno z tych stworzeń.

Nimrod tymczasem rośnie coraz bardziej. Pomimo silnej więzi między nim a Milesem, powoli staje się zagrożeniem dla innych. Jego nietypowa budowa sprawia, że potrafi generować ładunki elektryczne i bardzo szybko się leczyć.

Na całym świecie następuje coraz więcej dziwnych incydentów, giną zwierzęta morskie, pojawiają się tajemnicze znaki na niebie i ogromne leje krasowe w – wydawałoby się – losowych miejscach. Coraz trudniej ukryć przed opinią publiczną istnienie ogromnych morskich bestii. Bohaterowie odkrywają kolejne warstwy tajemnicy, pojawiają się tajne organizacje, eksperymenty genetyczne, biotechnologia, wielowarstwowe spiski i desperacki wyścig z czasem. Gdy okazuje się, jaka jest rzeczywista stawka i skala problemu, a napięcie sięga zenitu... koniec.

Tak, powiedzieć, że serial kończy się cliffhangerem, to jak nic nie powiedzieć. Ostatnie sceny są jak zbliżająca się pięść Anthony'ego Joshuy, jak uderzenie pierwszej fali niszczycielskiego tsunami. Siedzisz na krześle fotela, czekając, co dalej, lecz serial zostawia cię tylko z jednym pytaniem: „Jak oni mogli to tak skończyć?”.

Cofnijmy się trochę. W 2004 roku dwaj bracia bliźniacy, Jonas i Josh Pate, zgłaszają się do stacji NBC z pomysłem na serial SF o dziwnych morskich stworach. Mają historię rozpisaną na dwadzieścia dwa odcinki, typowy pełny sezon, będący wstępem do większej opowieści zaplanowanej na kilka lat. Niestety, stacja zgadza się jedynie na piętnaście odcinków.

Sezon miał zostać wyemitowany w dwóch turach, rozdzielonych przerwą świąteczną. Początkowe odcinki cieszyły się dosyć dobrymi ocenami i wydawało się, że pomysł chwycił, jednak oglądalność nie była tak wysoka, jak zakładano. Dodatkowo zmiany wymuszone przez decyzję o okrojeniu historii do piętnastu odcinków spowodowały, że gdzieś zgubił się balans. Trzeba przyznać, że po emocjonującym otwarciu w serialu zaczęły pojawiać się dłużyzny. Szczególnie ciągnący się przez kilka odcinków bardzo rozbudowany wątek przyjaźni Milea i Nimroda, w teorii wyglądający bardzo dobrze, bo pokazujący rodzącą się między nimi więź, w rzeczywistości był wyczajnie rozwleczony. Gdy nad serialem zawisły czarne chmury, producenci podjęli decyzję o podkręceniu tempa. W drugiej połowie akcja zdecydowanie przyspiesza, częściej skupiając się na zdecydowanie ciekawszej, pozostałej dwójce głównych bohaterów. Stawiając wszystko na jedną kartę, producenci zamiast zakończyć wątki, wcisnęli w pozostałe odcinki wszystkie kluczowe pomysły, dodając nawet motywy przewidziane dopiero na przyszłe sezony. Serial zamienił się w pędzący na łeb na szyję rollercoaster, rzucający bohaterami po różnych egzotycznych miejscach, od dna oceanu po tajne bazy naukowe, z każdą chwilą dodając kolejne dziwne odkrycia, piętrowe tajemnice i zwroty akcji.

Wszystko na nic. Emocjonująca końcówka nie zdołała wygenerować oczekiwanego zainteresowania i zysków. Mimo protestów fanów NBC ogłosiła, że kolejny sezon nie powstanie. Ledwo rok wcześniej gigantycznym sukcesem stał się *Lost: Zagubieni*. Wszystkie stacje chciały mieć wtedy swój wysokobudżetowy przebój i chociaż *Surface* początkowo wydawał się idealnym do tego kandydatem, NBC uznało, że poszukają jednak czegoś innego. Długo nie musieli szukać, bo już jesienią pojawił się kolejny kandydat: *Heroes*.

Żeglując po oceanach kultury, zapominamy, że ich głębiny naszpikowane są szczątkami niedokończonych opowieści. Porzuconych, zapomnianych, przykrytych warstwami innych dzieł. Mało kto do nich wraca – bo po co? Czasami jakiś nurek głębiny wyjeździe obejrzeć wrak, doceni pracę sztukników, wspomni załogę i spróbuje wyobrazić sobie, na jakie inne wody wypłynąłby, gdyby dotarł do portu docelowego. Nigdy się nie dowiemy.



ARTYKUŁ **KINO POD
KLEPSYDRA:
PTAKI
WĘDROWNE**

NIESŁAWNY
PAWEŁ
MARCISZEWSKI

*Miałem napisać coś o sobie, ale że w głowie pustko, pozwolę sobie posu-
mować swoją postać zwięźle, acz celnie: złoczyńca i psubrat.*

Są głody, co je nosimy pod sercem i pchają nas w różne strony. Są głody emocji, są głody ludzi, są głody działań i są głody miejsc. Nie wszystkie z nich rozumiem, każdego pędzą w jego własne strony. Rozumiem natomiast, że szumią te głody gdzieś głęboko, głęboko w nas, czasem je widać, tak, jak widać dno strumienia przykryte nurtem. I rozumiem, że gdy się odzywają, po prostu wstaje się i idzie, i nic na to poradzić się nie da. Dzisiaj – choć gdy inni szli w świat, ja zostałem z tymi, co zostali i rozumiem naprawdę niewiele – pogadamy o tym, jak woła świat. Pogadamy też o kinie, bo pretekstem do powstania tekstu jest przedpremierowy seans Ptaków wędrownych, filmu Marii Kapały. Wątek będzie kilka, mam nadzieję, że uda się je w miarę zręcznie wpleść.

Gdy byłem w trzeciej klasie liceum, w naszej szkole pojawił się nauczyciel języka hiszpańskiego. Drobny, niski, siwe włosy, znoszona marynarka i koszula, w ręce zawsze stara wysłużona walizka. Nazywaliśmy go Ricardo i snuli domysły co do zawartości bagażu (większość twierdziła, że są tam wykradzione skądś kody nuklearne). I choć zajęć z nim nie mieliśmy (do dziś po hiszpańsku umiem powiedzieć tylko puta madre!), samo mijanie się na korytarzach wystarczyło, żeby go polubić i dobrze zapamiętać.

Potem przez mniej więcej dwadzieścia lat Ryszard był w moim życiu nieobecny, dopiero niedawno zjawiał się z powrotem, mieszka w gminie, w której pracuję, mamy wspólnych znajomych, w sumie od dwu-trzech lat znamy się już osobiście. Historia Ryszarda jest taka, że jak był jeszcze młodym człowiekiem, odezwały się w nim te głody, co to o nich we wstępie pisałem. Odezwały się, no i nie mógł na to nic poradzić. Poszedł w świat i nie było go tu, sam już nie wiem ile lat. Różne w tym czasie odwiedzał przestrzenie, różnymi rzeczami się parął, ale w tym tekście zajmiemy się tylko jednym z tych miejsc – Kazachstanem – gdzie został na dziesięć lat i pracował jako nauczyciel w Pierwomajce – małej miejscowości na północy kraju.

Potem wrócił tutaj i żył dalej. Uczyl trochę to tu, to tam, inne prace znajdował, z których nie zawsze był zadowolony. Mniej więcej tyle. Historie małe i duże, miejsca bliskie i dalekie, można powiedzieć, że jest Ryszard pełen dni. W Księdze Rodzaju, w przekładzie Wujka, gdy mowa o dobrym i długim życiu, właśnie tak się mówi: być pełnym dni. Bardzo lubię ten obraz i myślę sobie, że to dobre jest: być pełnym dni. Niech więc i Ryszard będzie pełnym dni.

Wiele historii można o tej pełni opowiedzieć, różne nitki z tego kłębka wyciągnąć, człowiek to w końcu nic innego, jak splot różnych historii w czasie i przestrzeni. Za jedną z tych nitek, mniej więcej półtora roku temu, chwyciła Maria Kapała, reżyserka i fotografa, dawna uczennica Ryszarda.

Pomysł na Wędrowne ptaki był taki: zorganizować fundusze, kupić bilety, polecieć do Kazachstanu i posiedzieć przez dwa-trzy tygodnie w Pierwomajce, po drodze wszystko nagrywając. Samo zorganizowanie przedsięwzięcia było pracochłonne i być może zasługuje na własny akapit, ale akapitu tego nie dostanie, dosyć już tego wyglądania poza kadr! Kilka tygodni po osiemdziesiątych urodzinach Ryszarda samolot wisiał już w powietrzu, ptacy pewnie też już wędrowali, bo to jesień była, a film się kręcił.

Ryszard na mrozie pcha taczkę, a na niej szkolną tablicę. W kolejnych scenach najpierw uczy hiszpańskiego dzieciaki w miejscowej bibliotece, potem siedzi w pracy – obsługuje ciuchcią w małym parku rozrywki. Wagoniki suną po torach, dzieciaki śmieją się, Ryszard dmucha w gwizdek, siada zmęczony, patrzy gdzieś w dal.

Cięcie. Po cięciu już w Kazachstanie. Zaraz po lądowaniu wydaje się mieć przynajmniej dwadzieścia lat mniej, kiedy w okienku wypytuje o to, jak dojechać do Pierwomajki. Mieszanina radości, zagubienia, ulgi. Potem droga na miejsce, kilkadziesiąt kilometrów kazachskimi stepami, wielką przestrzenią ciętą jedynie starymi słupami energetycznymi i asfaltem. Rozmowy w taksówce. Spotkania z lokalną społecznością.

Wicie, w historii Ryszarda tkwi spora pułapka dla opowiadającego – pokusa pokazania dziadka, który po osiemdziesiątce leci jeszcze raz spotkać się z miejscem, w którym w młodości żył przez dekadę – dużo wzruszeń, narracji o przemijaniu, o żegnaniu ważnych w życiu rzeczy, dużo tu emocji, na których łatwo byłoby grać. Ale autorka robi krok w tył, schodzi z linii strzału i unika tych wnyk. Jeśli chcemy – owszem, znajdziemy tutaj tę historię, ale tylko jako element większej całości, nie będzie nam ona podana na tacy.

Reżyserka pozwala kamerze biec swobodnie, mam wrażenie, że ufa obiektywowi i taśmie (czy na czym tam się te filmy teraz nagrywa), że dobrze wie, że trzeba pozwolić im patrzeć, tak żeby później pozwolić patrzeć także widzowi. Nie ustawia strzegącego opowieści narratora, który powiedziałby nam: proszę patrzeć tutaj – dostajemy fragmenty rozmów, luźne zdania bohatera – treść sama się z nich wylania.

Kulminacją ma być przyjazd polskich oficjeli, którzy na wieść o kręceniu filmu zjawili się na miejscu, w międzyczasie Ryszard uczy mieszkające w Pierwomajce dzieci z polskimi korzeniami, razem przygotowują program artystyczny. W pewnym momencie film skupia się właśnie na żyjących tam ludziach, dzieciaki tam i tutaj są takie same, widać to już w pierwszych ujęciach. Opowiadają o swoich marzeniach (chcą przynajmniej odwiedzić Polskę), uczą się, stresują przed występem.

W międzyczasie wychodzimy na spacer, oglądamy stepy, chmary zrywających się z krzewów ptaków, dzieciaki jeżdżące motorami po ulicach wsi... wszystkie te elementy, złożone w całość i dające zupełną wolność w odbiorze, sprawiły, że oglądając, myślałem o samym opowiadaniu jako takim. Być może opowiadając, trzeba właśnie zaufać opowieści i samemu odbiorcy, i po prostu pozwolić mu być przy sobie i patrzeć razem, jak świat biegnie tam, dokąd chce biec... I bijąca z tego sposobu opowiadania-nieopowiadania surowość sprawia, że film wydaje się być bliski.

Całość dotknęła mnie mocno. Jasne, była tutaj ta opowieść o przemijaniu, ale też o życiu w Kazachstanie, o tym, że wszędzie jesteśmy tacy sami, o tęsknieniu i tych głodach, co nas pchają w gaszenie tęsknot i o tym, jak świat zostawia na nas swoje odciski palców i zostaje już na zawsze. Mogę sobie jedynie wyobrażać życie z odcisniętymi w duszy wielkimi pustymi stepami, w które wychodzisz i jeśli pójdziesz odpowiednio długo, możesz już nie wrócić.

Film będzie niebawem krążył po festiwalach, dam wam znać, jak sobie radzi. Jak się pojawi w sieci też wam dam znać, cobyście pofrunęli. Póki co – trzymajcie się tam ciepło!

Reżyseria: Maria Kapala
Zdjęcia: Magdalena Bojdo
Montaż: Dorota Roś
Udźwiękowanie: Tadeusz Chłoń
Zgranie dźwięku: Paweł Uszyński
Muzyka: Maciej Pępłoński

Produkcja: Fundacja Pracownia Wyobraźni
zdjęcia w artykule: Maria Kapala

to jest trzydziesta pierwsza strona pierwszego numeru statku głupców



NIE CHCESZ BYĆ NA CZASIE, ALE CHCESZ BYĆ PONADCZASOWY? DOŁĄCZ DO NASZEJ NIEZWYKŁEJ PODRÓŻY

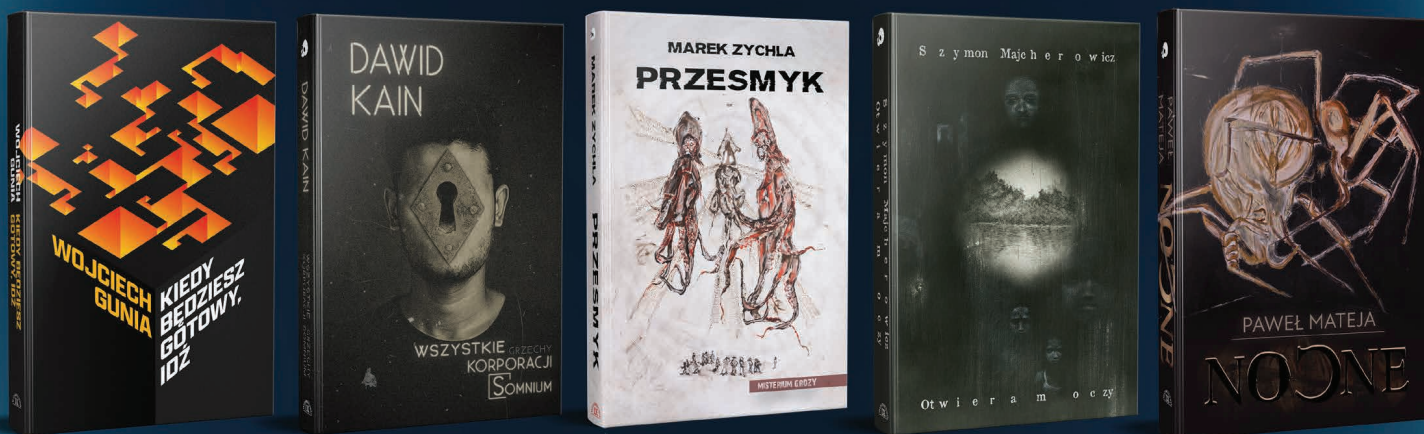
weird fiction • science fiction • non fiction • fantasy

WYDAWNICTWO
IX



Najlepszy Europejski
Wydawca Fantastyki 2024

WEIRD FICTION, KTÓRA RYJE BANIE



NAGRADZANA SCIENCE FICTION NA NAJWYŻSZYM POZIOMIE

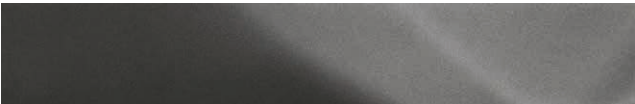


WYDAWNICTWOIX.PL

Jarek Jędraszczyk to rzeszowski poeta z korzeniami w Wielkopolsce, autor licznych książek poetyckich, amator przeskakiwania między formami, choć twierdzi że najbliższej mu do piosenki. „Smorgoński szalik” to zeszłoroczny zbiór utworów krążących wokół haiku, eksperymentujący z formą, językiem oraz - jak zawsze - z ilustracją.


SMORGOŃSKI POEZJA SZALIK

JAROSŁAW
JĘDRASZCZYK




Dmie serca smętek
A serce jak korablik
Na obcych wodach

Kolysz kopytkiem
Tę ciemną noc dziegiarzu
Forysiom daj sen




Na turzymwibrze
Wieje silniej niż z garbu
Aż ssie pod sercem

Herezjarchowie
Znowu krach na giełdzie piór!
Walcicie o ciało!




Beżenny jak deszcz
Kocham cycowe łąki
I kurz na drodze

Zazdroszą piegów
Gnomonie cudny chłopcze
Kim są złe cienie?



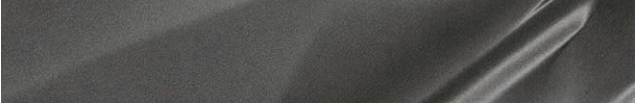
Rozkolysało
Obło snu wyżej niżej
Gęsi puch puch puch

Pouczam ptaki:
Skryptoria są jak gniazda
Puste siwieją




Przepilem palusz
Z uśmiechem tak ciepłym jak
Smorgoński szalik

Zarósłszy trawą
Kalendarz przemierza czas
Tobie robaczku



Śryż jak eszelon
Wchodzi do łona rzeki
Siew co zwolni czas

Cichnie klangor traw
To deszcz-mol je usypia
Ten nosiwoda



W pasterskiej torbie
Śpią motety i motki
Na drogę na cud

Oszelmowani
Z jednym uchem przy ziemi
Wciąż słodko śpimy

KRZYSZTOF ŁOBCZOWSKI

NIESŁAWNY

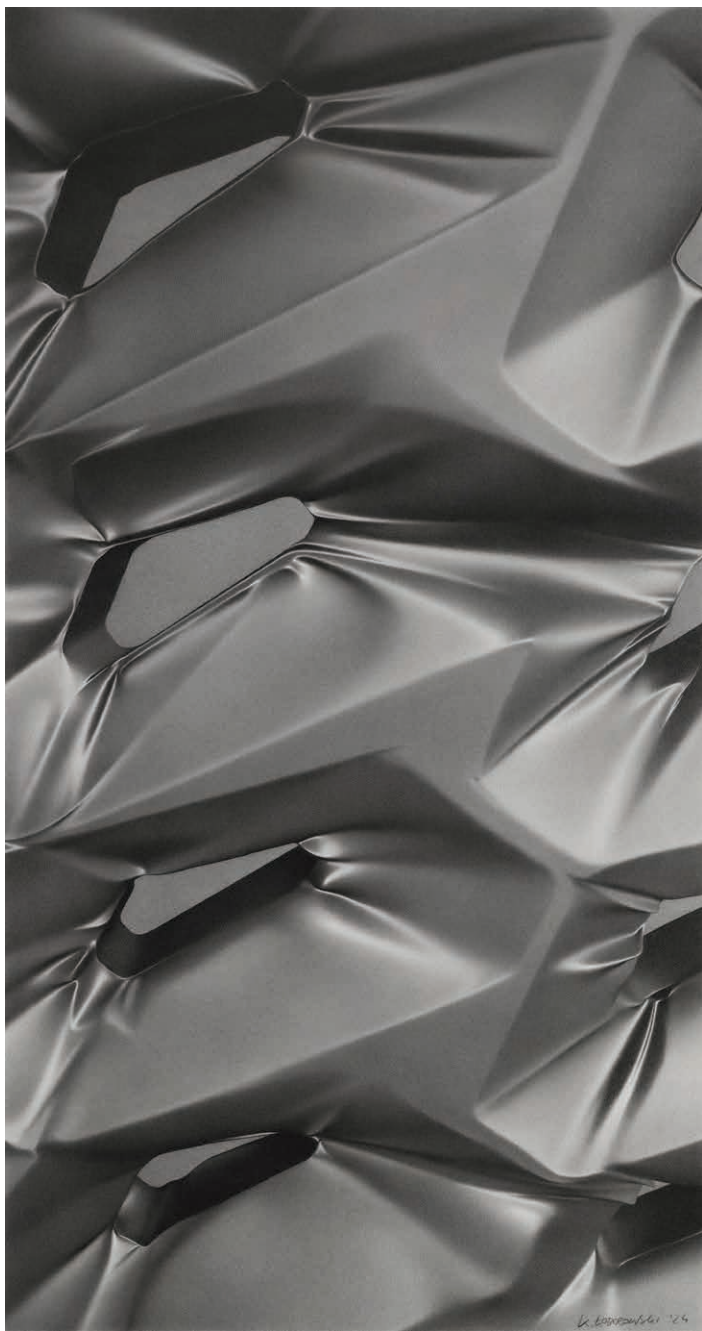
PAWEŁ

MARCISZEWSKI

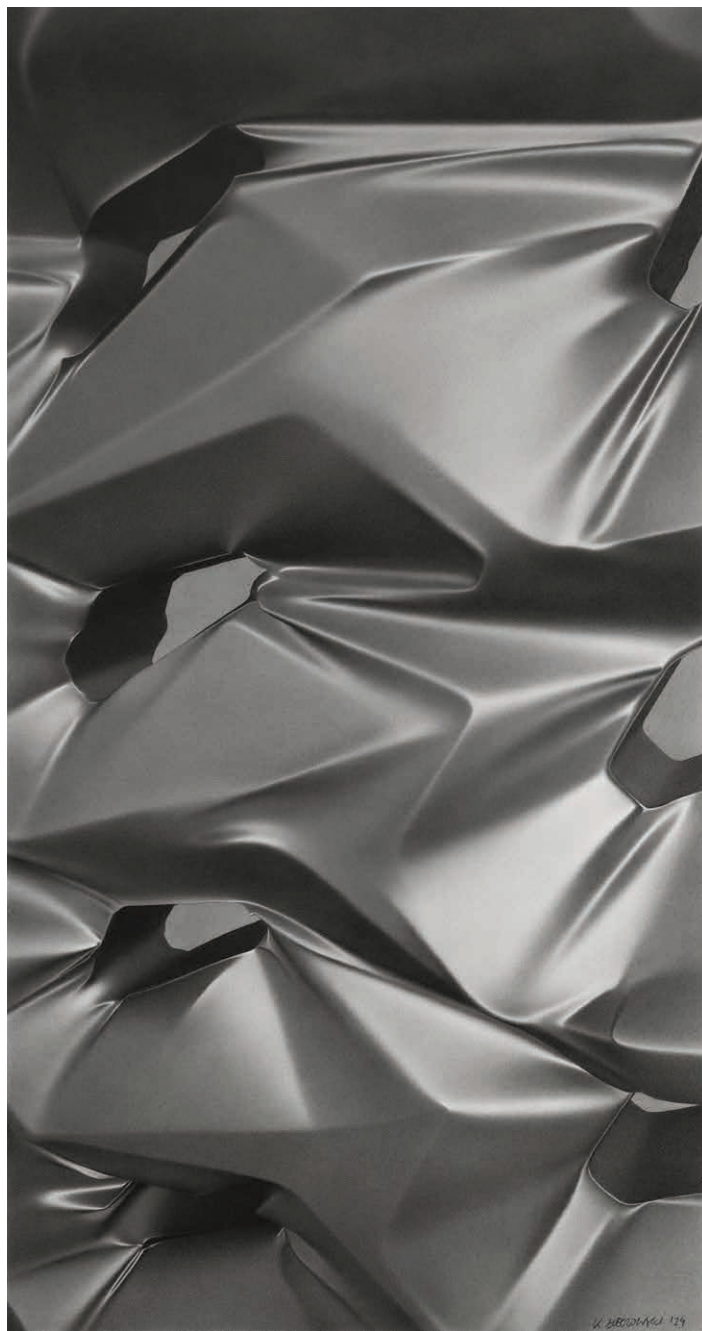
GALERIA POD POKŁADEM

Pierwszy numer Statku Głupców bogato ilustrują prace Krzysztofa Łobczowskiego – nie wiem, czy ilustracja to właściwe słowo – jego prace stanowią integralną część magazynu. Wgryzają się w niego, szczelnie wypełniają, miejscami przejmują władanie i dominują. Z pewnością znajdą się czytelnicy, dla których właśnie one będą stanowić właściwą treść magazynu. Są więc czymś innym, czymś więcej niż ilustracją.

Mniej więcej sto dziesięć lat temu stary dobry Einstein wyliczył, że jeśli na odpowiednio małej polaci czasoprzestrzeni zgromadzimy odpowiednio dużą masę, ze światem zaczyna dzieć się rzeczy dziwne, materia zacznie działać inaczej, stanie się czymś innym, osobliwym. Może podobnie jest też z innymi dziedzinami bycia, może także ze sztuką i tworzeniem? Tak sobie przynajmniej myślę, jak patrzę na rysowanie Krzysztofa



Symptomy implozji I, ołówek na papierze, 2024



Symptomy implozji II, ołówek na papierze, 2024

– no bo ile pracy może unieść jeden obraz, rysunek, rzeźba?

Wiadomo – ten który tworzy, robi to przez całą dobę, także w trakcie snu i czynności codziennych, ale umówmy się, że czasu czerpania, sadzenia i kiełkowania nie liczymy, pod uwagę bierzemy samą „robotę”, sam proces wydostawania się treści z autora na zewnątrz, przelewania go z wnętrza na tworzywo. Każdy z zawartych w numerze rysunków to dziesiątki, czasami sto kilkadziesiąt godzin pracy. Żmudnej, mrówczej, precyzyjnej.

Kolejne warstwy grafitu, kolejne ruchy ręki, linia za linią, plama za plamą kładą się na papierze, a papier cierpliwie wszystkie je przyjmuje, spaja, zamyka w sobie. Z każdą linią waży więcej i więcej, a przestrzeń wokół niego zakrzywia się, zaczyna przyciągać. Autor siedzi nad kartką i rysuje tak długo, aż słowo „rysunek” staje się już nieodpowiednie, za małe, żeby móc udźwignąć wszystkie jego kreski.

Prace Krzysztofa z serii Symptomy Implozji pokazywaliśmy w galerii szerokiej publiczności. Wiadomo, jak statysty-

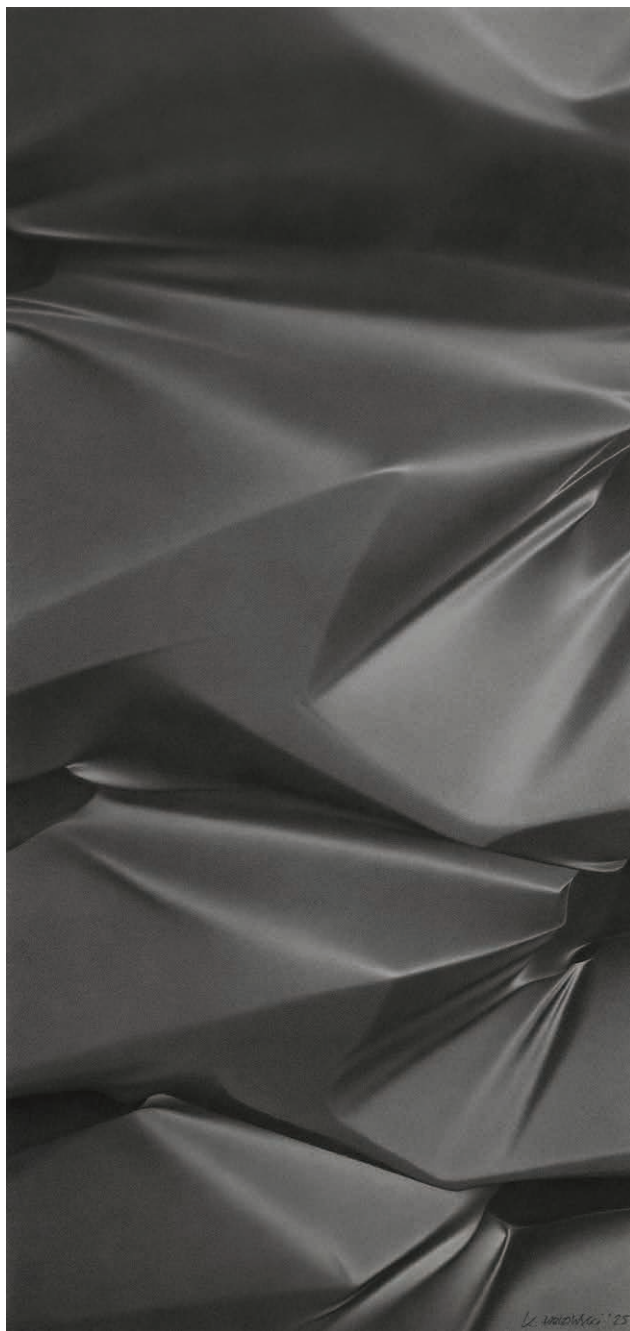
cznie wygląda odbiór sztuki wśród przypadkowego odbiorcy – mniej więcej połowa stwierdza, że się nie zna, druga mniej więcej połowa stwierdza, że albo też by tak potrafiła, albo że jednak by tak nie potrafiła. Między nimi kilka procent gości, którzy przy niektórych pracach się zatrzymują, stoją dłużej, czasem coś mówią, czasem nie. W przypadku tych dwu prac ten odsetek był wielokrotniony, przyciągał, zatrzymywał, jakby goście galerii podskórnie wyczuwali, że mają do czynienia z czymś więcej, że przekroczone tutaj pewne granice, że widzą coś, czego jeszcze nie widzieli.

Myślę, że ktoś (ktoś, kto umie liczyć) mógłby rozpisnąć taką Teorię Względności Piękna. Opis tego, jak odpowiednie nagromadzenie piękna tworzy pewną masę krytyczną, powyżej której dzieła zaczynają się rzeczy dziwne, zaskakujące; świat odkształca się, światło biegnie inaczej i tak dalej. Wiecie, o co chodzi.

Druga sprawa – forma i treść. Setki godzin jednostajnego ruchu, żmudnego sunięcia rysikiem po papierze – można od-



Akumulacja napięć I, ołówek na papierze, 2025



Akumulacja napięć II, ołówek na papierze, 2025

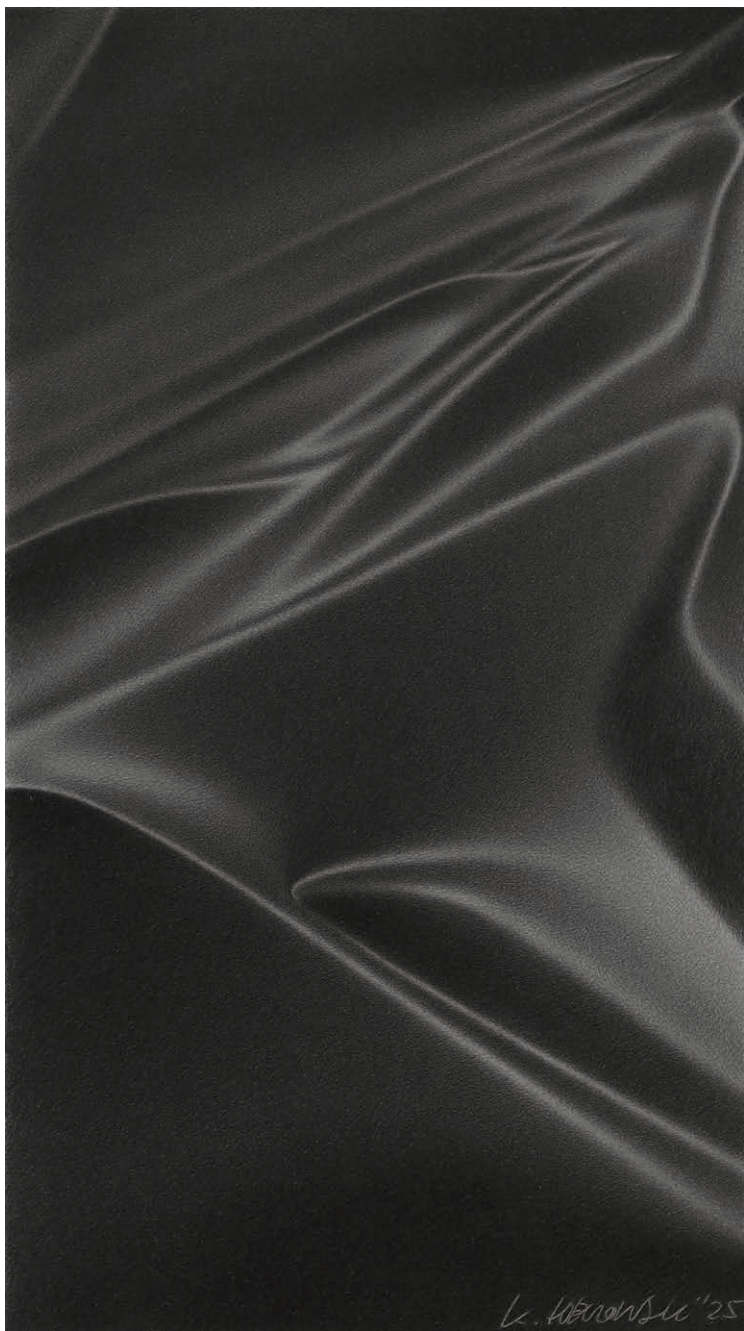
nieść wrażenie, że to swojego rodzaju rzemiosło – imponujące technicznie, ale skromne jeśli chodzi o treść. Ale jest to wrażenie – jestem przekonany – błędne. Twórczość Krzysztofa Łobczowskiego ma w sobie coś kontemplacyjnego, mistycznego, większego. To nagromadzenie pracy, linii grafitu na papierze, układa się w pewnym momencie w coś większego, coś więcej niż zbiór wszystkich swoich elementów.

Wiecie, to tak, jak dawni mędrcy z pustyni, siedzący całe dnie w piasku, przekładający ziarenko za ziarenkiem z jednej strony na drugą, żaden z nich nie powie, że poznał pustynię, dopóki nie pozna jej ostatniego ziarenka. Z małej czynności wylania się coś dużego, coś innego i osobliwego. Każda opowieść składa się z odpowiedniego ułożenia bezliku liter, a każdą informację zapisać da się w długich ciągach zer i jedynek. Ilekroć patrzę na te prace, jestem przekonany, że tutaj coś takiego się dzieje, że

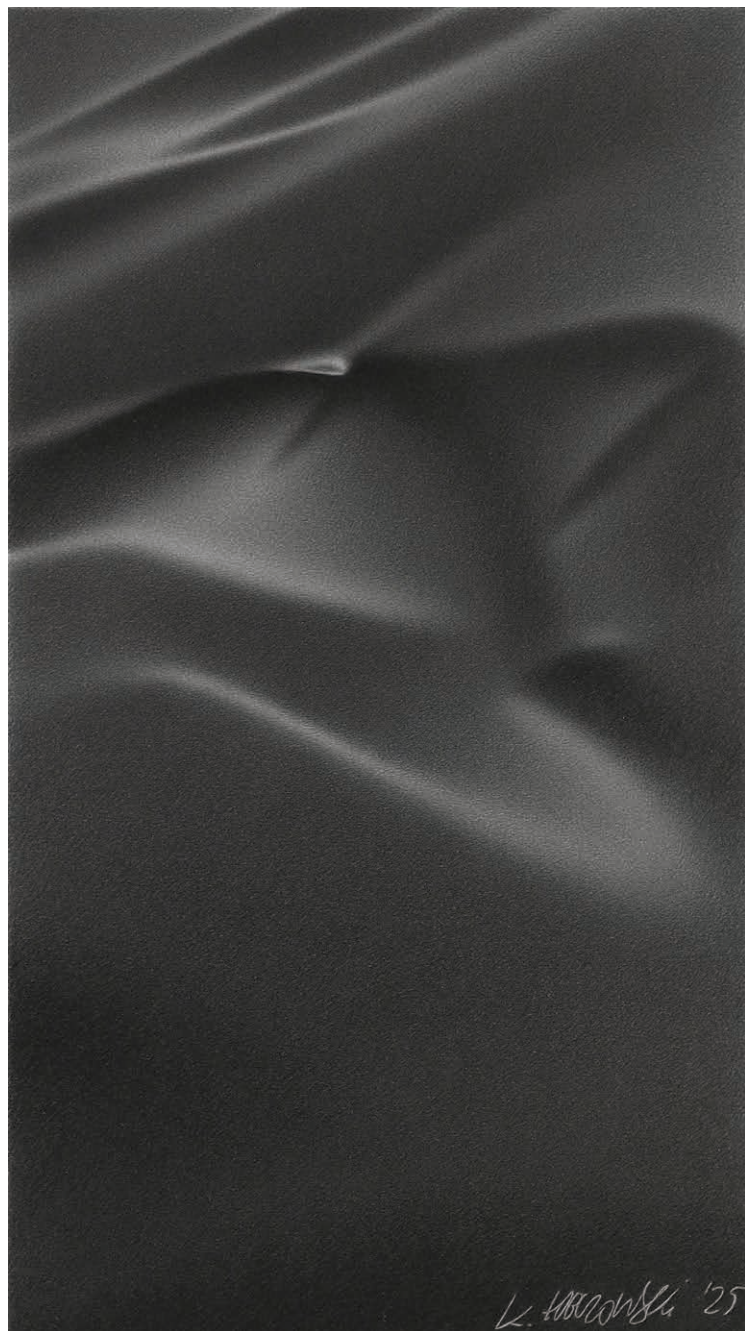
z tego bezliku kresek powstaje kształt właściwy, ostateczny, mimo, że żadna z linii nie wie, w jaki kształt się układa. Jest tu morze emocji, jest groza, jest ciężar, jest nadzieja i oczekiwanie na światło, jest dużo rzeczy – państwo jesteście już duzi, państwo sami się przyjrzyjcie i znajdziecie, co trzeba znaleźć.

PS. Być może najważniejsze. Dwadzieścia kilka lat temu chodziliśmy z Krzysztofem do tego samego liceum, razem ćwiczyliśmy na wuefie. Potem zniknęliśmy ze swoich żyć na dwadzieścia lat i w zeszłym roku znów zupełnym przypadkiem trafiliśmy na siebie.

Dobra historia to jest. Trzymajcie się tam dobrze.



Zakłócenia I, ołówek na papierze, 2025



Zakłócenia III, ołówek na papierze, 2025

NIE BOIMY SIĘ / KTO TAM

POEZJA

NIESŁAWNY
PAWEŁ
MARCISZEWSKI

nie boimy się

Zośce

Nigdy nie jestem bliżej drugiego, jak wtedy kiedy siedzę z Zosią, nigdy nie boję się mniej.

Siedzimy na dwu przeciwnych biegunach tej samej rodziny i bujamy się, bujamy.

Z niej wyszli wszyscy, którzy są pomiędzy, ze mnie nie wychodzi już nikt i nie idzie nigdzie.

A słońce każdego dnia zachodzi nieco dalej na zachodzie i wschodzi nieco dalej na wschodzie a dni są dłuższe i dłuższe.

Razem widzieliśmy już tyle zachodów że zliczyć się nie da, w końcu zobaczyliśmy też siebie nawzajem, a każde słońce, chlapiąc wpadało w nas jak w wodę. Cali jesteśmy w tym plusku.

A świat buczy i skrzy się cały od bozonów, skorośmy zauważyli to swoje wzajemne bycie, on pewnie też nas zauważył i przyszedł się lasić do otwartych dłoni.

Świat, tak jak kot, wpuszczony w chłodny wieczór zawsze pachnie jak zima.

I chociaż idą przez nas wszystkie te noce i my w nie idziemy, to nie boimy się, bo spotkaliśmy się, odkryliśmy, że jest tutaj jeszcze ktoś inny.

W nocy kiedy ścielę łóżko Zosi, a potem ona idzie spać, a ja wychodzę i idę spać do siebie, to się nie boimy.

I rano, kiedy pijemy dwie kawy na dwu biegunach tej samej rodziny, to nie boimy się, chociaż słońce znowu idzie w górę.

kto tam

To już kilka lat, jak porzuciliśmy zegary i kalendarze. Nie wiemy już, która jest godzina, który dzień i rok.

Najwięcej o czasie myślimy w dzieciństwie. Nigdy tak jak wtedy nie boimy się śmierci.

A teraz, teraz to nie są już ważne sprawy, schną w nas popędy, gasną światła i koryta rzek. Wszystkim rządzi nuda, wszystkim rządzi głody.

Ale w środku wciąż jeszcze jest ten gęsty bór, cośmy go sadzili w młodości. Jego mieszkańcy jedzą jagody, jajka i to wszystko, co uda im się wymienić przy granicy.

Jedzą do syta, śpią do późna, nie pracują, nie walczą z nikim, śmieją się dużo i mają czas, czasami widzimy ich w lustrze jak stoją razem wyprostowani i patrzą, jakby pozowali do zdjęcia. Ale to wszystko są małe historie ze środka. Duże historie dzieją się przecież na zewnątrz.

Tymczasem tu, na zewnątrz, gdy nie patrzyliśmy, obróciły się pory roku i Wielki wóz jest nagle po drugiej stronie nieba. Świat toczy się sam z siebie, życie toczy się samo.

Gdy tak śpimy jeszcze przysypani zimą, gdy nie patrzymy, ktoś, może mieszkańcy tych borów, co je w sobie niesiemy, ktoś cichcem sadzi przebiśniegi.

Gdy tak śpimy ktoś przychodzi i żyje nasze życie. Idzie w mnóstwo miejsc, w które my nie poszlibyśmy nigdy, pisze wiersze, których my byśmy nie napisali. Robi dobro, robi światło.

(NIE)ZAPOMNIANY JERZY POSZŁO Z DYMKIEM WROBLEWSKI

MATEUSZ
SZŁAPKA

Mateusz, poważny historyk na burzliwe czasy; tropiciel prawdy, mówca, prelegent i wielki fan facetów w rajtuzach (i majtasach na te rajtuzy). Nie mogło być inaczej, musiał zostać redaktorem działu komiksu. Co ciekawe, nie zdecydował się napisać tekstu o superbohaterach. Chociaż to zależy pod jakim kątem na ów tekst patrzeć...

Polscy rysownicy komiksowi nie mają łatwego życia. Z jednej strony jest, co prawda, Grzegorz Rosiński, który osiągnął sukces ogólnoeuropejski (to na pewno), jeżeli nie światowy, czy legendarny Papcio Chmiel. To rysownicy powszechnie znani, także przez tych, którzy w świecie komiksu w ogóle nie siedzą. Jest też Janusz Christa, Bogusław Polch oraz Tadeusz Baranowski, których dokonania i twórczość wymagają już pewnego obycia w komiksie (no, może poza Christą), ale cieszą się uznaniem, estymą i powszechną pamięcią.

O współczesnych artystach komiksowych nie będę tutaj pisał, bo ich sytuacja wygląda trochę inaczej niż „klasyków”, a i sytuacja na polskim rynku komiksowym się zmienia. Jedni robią komiksy trochę w ramach hobby, inni stawiają na jedną kartę, ale komiks jako taki w Polsce ma się chyba dobrze. Mamy też swoich uznanych rysowników, a właściwie rysowniczkę, z karierą w dużych korporacjach np. w Marvelu, Image czy Egmoncie (tym szwedzkim) dla którego tworzy Kasia Niemczyk (znana za granicą jako Kasia Nie – ma na swoim koncie m.in. Mockingbird, Conana, Wasp czy Fantomena).

Są jednak tacy rysownicy, którzy ob-
jawiają się nam nagle i ze zdziwieniem
zdajemy sobie sprawę z faktu, że nie
wiedzieliśmy o ich twórczości,
nie znaleźliśmy ich znaczenia,
nie mieliśmy pojęcia o tym,
że byli gdzieś obok. Tak
u mnie jest z Jerzym
Wróblewskim.
Wróblewski
był dla mnie

absolutnym objawieniem – nie tylko dlatego, że nie zdawałem sobie sprawy z jego znaczenia w polskiej sztuce komiksu, ale także dlatego, że zobaczyłem jak działa mechanizm zapomnienia.

Jerzy Wróblewski był autorem scenariuszy i rysownikiem. To on wymyślił i stworzył Binio Billa, publikował w *Relaxie*, wielu dziennikach i tygodnikach. Ponadto na wiele lat przejął prowadzenie serii o Kapitanie Żbiku – bodaj najsłynniejszym, obok Kłosa, polskim „superbohaterze” z okresu PRL. Wydał ponad sześćdziesiąt albumów o łącznym nakładzie blisko czteremastu milionów egzemplarzy. Rysował komiksy o wszelkiej tematyce – obok Żbików i Binio Billa znany jest najbardziej z serii „Tajemnica złotej maczety” oraz jej kontynuacji, „Dzieśięciu z Wielkiej Ziemi”.

W środowisku komiksowym o Wróblewskim się pamięta. Wydawnictwo Ongrys wydało zresztą całą serię „Z archiwum Jerzego Wróblewskiego”. Powstały także dwie publikacje o charakterze biografii: prof. Marcin Jaworski z Wydziału Sztuk Pięknych UMK napisał książkę „Urodzony, żeby rysować. Twórczość komiksowa Jerzego Wróblewskiego”, natomiast Maciej Jasiński przedstawił rysownika w swojej publikacji „Jerzy Wróblewski okiem współczesnych artystów komiksowych”.

Skąd więc te moje narzekania?

Chociaż Wróblewski związany był głównie z Bydgoszczą, gdzie generalnie pamięta się o jego wkładzie w sztukę komiksu, to pochodził i wychował się w Inowrocławiu – i tu z pamięcią jest dużo gorzej.

Zostałem mieszkańcem stolicy Kujaw Zachodnich trochę przypadkiem, zadziwia mnie jednak, że miasto z takim potencjałem historycznym, w sposób tak spektakularny je trwoni i kapituje wobec innych, którzy potrafią zagarniać postaci historyczne do swoich celów. Tak jest z Wróblewskim właśnie. Chociaż twórca Binio Billa z własnej woli związał się z Bydgoszczą, wydaje się, że jego związki z Inowrocławiem warte są odnotowania. To

tutaj przecież się urodził 7 sierpnia 1941 r., to tu stawiał pierwsze kroki w swojej karierze rysowniczej, ukończył Szkołę Podstawową nr 2 im. Panny Marii (wówczas Szkoła Podstawowa nr 5). Chociaż przeniósł się do Bydgoszczy, jego rodzice nadal mieszkali w Inowrocławiu.

Jak przedstawia się upamiętnienie Wróblewskiego w jego rodzinnym mieście?

Średnio.

Trwają właśnie starania dotyczące umieszczenia tablicy na SP 2, która ma informować, że Wróblewski był absolwentem tej szkoły. Projekt został pozytywnie zaopiniowany przez Urząd Miasta, teraz czeka na akceptację konserwatora zabytków. W 2011 roku jedna z ulic została nazwana jego imieniem. Małutka, odchodząca od ul. Jacewskiej, prowadzi do stawu Kozłówka. Stoi przy niej jeden dom. Trzeba jednak przyznać, że tutaj Inowrocław jest przed Bydgoszczą, w której do dziś nie ma ulicy nazwanej imieniem Wróblewskiego. Poza tym – w zasadzie cisza i hulający wiatr.

Brakuje zaangażowania w przypominanie o Wróblewskim ze strony lokalnych urzędników. Warto postawić pytanie: czy jest miejsce na jakiś konkurs, stypendium dla wybitnie uzdolnionych młodych artystów, rysowników, plastyków im. Jerzego Wróblewskiego? W jaki sposób zaopiekować się tą pamięcią, żeby procentowała na zewnątrz – zarówno w celu pielęgnowania historii samego artysty, jak i umieszczenia miasta na komiksowej mapie Polski. Z wielu miejsc w kraju, które odkrywały tego rodzaju postaci w swojej historii, płynie lekcja, że jest to dobry kierunek, pozwala odkryć te historie na nowo, zagospodarować je. Przykładem niech będzie Sanok, który wygrał w życie Beksińskim.

Wspominam o tym wszystkim z dwóch powodów. Po pierwsze, samo miasto nie narzeka na nadmiar zainteresowania ze strony turystów i inwestorów. Oczywiście, są kuracjusze którzy udają się do sanatorium, ale samym sanatorium miasto żyć nie może. Po drugie, tracimy możliwość upamiętnienia i wykorzystania ważnej i ciekawej postaci historycznej, związanej z tak nieoczywistym medium jak komiks. Dzisiaj w kultywowaniu pamięci o Wróblewskim przoduje przede wszystkim Jarosław Wojtasiński – też rysownik, kontynuator przygód Binio Billa i kustosz pamięci o redaktorze *Relaxu*. To niezwykle ważne zadanie. Świat komiksowy zachwyca się rysownikami zagranicznymi, często nie mając świadomości, że na naszym podwórku jest naprawdę dużo do odkrycia i dużo do zrobienia. Na ostatnim spotkaniu Otwartych Komiksów, kanału Tomasza Kołodziejczaka i jego ekipy, w grudniu 2025 r. zrobiłem sobie pewnego rodzaju crash test do tego tekstu i zapytałem wielu ludzi z branży, czy kojarzą Wróblewskiego – w zdecydowanej większości odpowiedź była pozytywna, w końcu był to niezwykle płodny artysta. Ale gdy zapytałem, czy wiedzą, że urodził się i wychował w Inowrocławiu, spotykała mnie konsternacja i znaki zapytania. Wszyscy przecież kojarzą go z Bydgoszczą. Wydaje się, że potrzebna jest inicjatywa, żeby pamięć o Wróblewskim znów skleić z Inowrocławiem.

Ironią jest też fakt, że mimo tego, iż Wróblewski w powszechnym odbiorze kojarzony jest z Bydgoszczą – co nie jest dziwne, przecież nawet w jednym z kadrów w Żbiku umieścił samego siebie, dworzec PKP w Bydgoszczy i blok, w którym mieszkał – pochowany został w grobie swoich rodziców w Inowrocławiu.

CMD: TRAGIKOMEDIA W JEDNYM AKCIE

BARTEK
BIEDRZYCKI



YOUNG MISS TRIBB ŁUKASZ GOLBA



to jest czterdziesta pierwsza strona pierwszego numeru statku głupców

DZIAŁ ROZRYWKI I ZGORSZENIA

KĄCIK FARMAKOLOGICZNY CZYLI GARŚC RECEPT NA BÓL DUPY

MAŁGORZATA
JACHIM

„(...) bo życie to nie bajka, nie głaszcze cię po jajkach (...)" śpiewał Mirosław Zbrojewicz. Niestety to prawda. Na szczęście nasza etatowa farmaceutka, Gosia, zna kilka sposobów, żeby uniknąć imadła i najgorszego bólu. Bez pudła rozpoznaje różne dolegliwości i – co ważniejsze – ma na nie rozwiązania. Dziś jedno z nich.

Rozpoznanie:

Bezsennność (łac. *insomnia*) – brak odpowiedniej ilości snu dobrej jakości, wynikający z trudności w zasypianiu, utrzymaniu snu, lub przedwczesnego budzenia się rano. Objawy bezsenności w wywiadach epidemiologicznych stwierdza się u 30–50% badanych dorosłych osób. Mogą pojawić się zarówno po złej lekturze, przed trudnym dniem w pracy, jak i po nocy spędzonej na socjal mediach.

Zalecono: Mieszanka Senne Opary.

1. Garść Wyciszenia:

„Nic się nie dzieje” – Kathryn Nicolai. Zbiór współczesnych opowieści na dobranoc. Wycinki codzienności, uchwycone przez autorkę magiczne chwile, oddziałują na zmysły, wyciszają myśli i łagodzą napięcie. Gorąco polecam audiobooka – kojący głos Anny Dereszowskiej ukolysze Was do snu w kilka minut.

„Podziemie pamięci” – Yoko Ogawa. Dystopia ubrana w szaty literatury pięknej. Opowieść o mieszkańcach bezimiennej wyspy, mierzących się ze znikaniem kolejnych przedmiotów – zarówno w sferze materialnej, jak i emocjonalnej. Oniryczna, niespieszna narracja i delikatność pióra autorki wyciszają, a niektórych wręcz... usypiają :)

2. Naparstek Inni Mają Gorzej:

„Insomnia” – Sarah Pinborough. Niezwykłeciągający thriller psychologiczny, podszyty niepokojem i psychodeliczną atmosferą. Emma zaczyna cierpieć na bezsennność, a w ciągu dnia zdarzają się jej zaniki pamięci. Kobieta boi się, że podobnie jak jej matka, zaczyna popadać w szaleństwo. Uwaga! ta lektura – źle dawkowana – niejednemu skradnie sen.

„Nie śpię” – Bortne Anders. Osobisty reportaż o walce autora z chroniczną bezsennnością. Anders opisuje wpływ długoletnich problemów ze snem na stan psychiczny, życie zawodowe i relacje rodzinne. Wspomina też przeróżne metody i terapie, które przez ten czas wypróbował – z różnym skutkiem. Jeżeli zmagasz się z bezsennnością, ta książka dostarczy Ci kilku cennych wskazówek oraz poczucie, że nie jesteś sam.

3. Szczypta wiedzy:

„Dlaczego śpimy” – dr Matthew Walker. Wiedza zawarta w tej książce może realnie wpłynąć na wasze życie. Założyciel Instytutu Badań nad Snem, rozbierając to zjawisko na czynniki pierwsze, pokazuje, jak sen wpływa na zdrowie fizyczne i psychiczne, regulując pamięć, emocje i metabolizm. Dowiedź się, jak na własne życzenie pogarszamy nasz sen i co możemy zrobić, żeby poprawić jego jakość. A przez to żyć dłużej i szczęśliwiej ;) Napakowana wiedzą, podaną w przystępny sposób.

I na koniec:

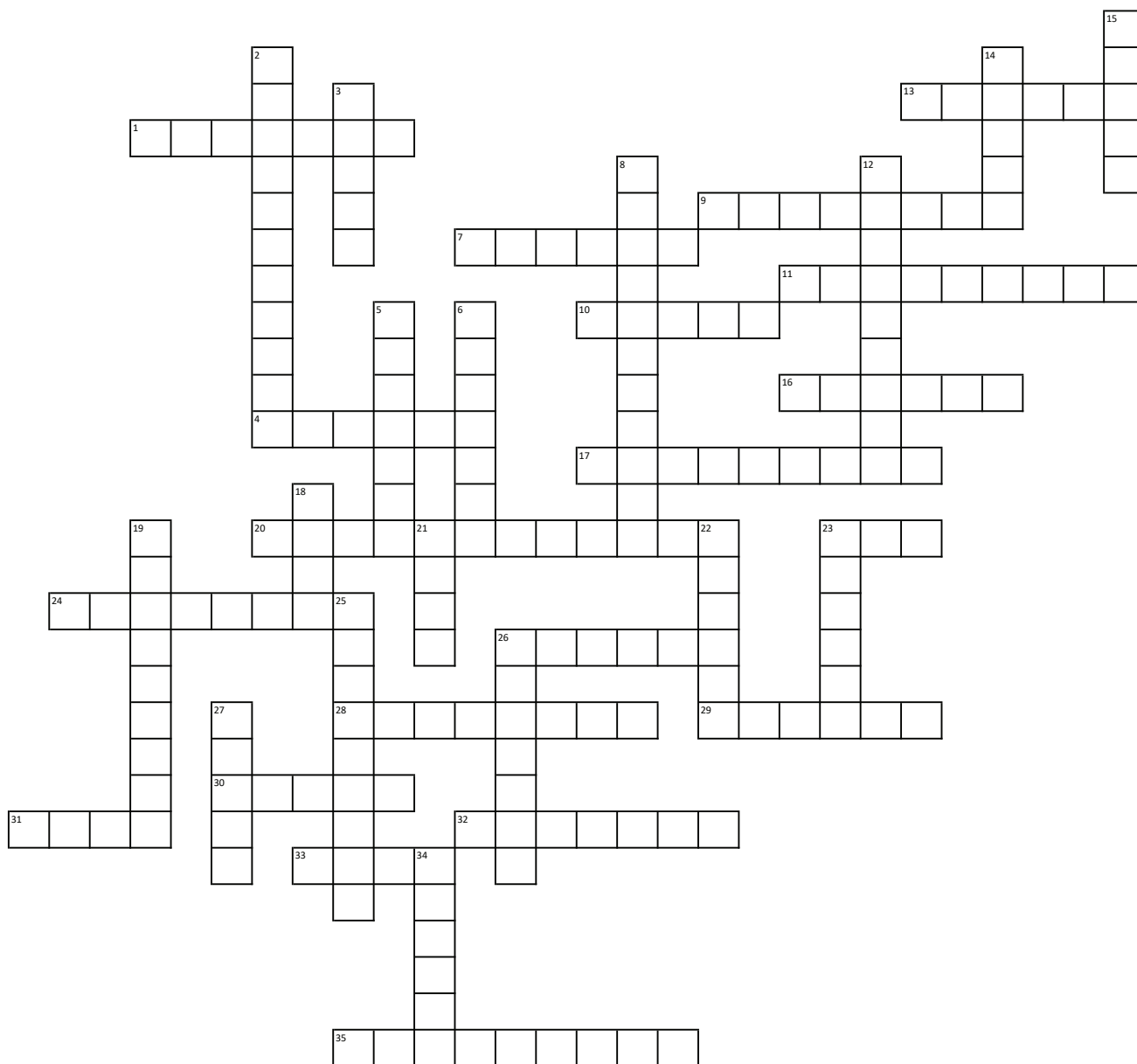
4.

Dwie szklanki naparu z melisy i pięć kropli olejku lawendowego
Misce, fiat mixturae
Da signaturam: 1 łyżka stołowa wieczorem.

KRZYŻÓWKA

DZIAŁ ROZRYWKI I ZGORSZENIA

ANNA
SAMCZYŃSKA



1. Robot humanoidalny
2. Kroniki Bradburego
3. Słowiański demon uosabiający nieszczęście, nie śpi
4. Smoczy jeździec Ch. Paoliniego
5. Imię Obieżyświata
6. Kapłanka świątyni Melitele
7. Napisał Nowy Wspaniały Świat
8. Cykl Le Guin
9. Chroni przed dementorami
10. Ijon, bohater książek Lema
11. Jakub Bimbrownik
12. Ten Którego Imienia Nie Wolno Wymawiać
13. Obok Szerni
14. Autor Wehikułu Czasu
15. Meriadok Brandybuck
16. Kulawy Inkwizytor z Pierwszego Prawa
17. Twórca Świata Dysku
18. Promiennoki
19. Kolonia orbitalna Zajdla
20. Doktor, który stworzył potwora
21. Ptak kojarzony z E. A. Poe
22. Słudzy Saurona
23. Poziomo – Odmiana elfa
23. Pionowo – Ostatnia książka napisana przez Lema
24. Fragment rozszczonej duszy
25. Autor Archiwum Burzowego Światła
26. Poziomo – Powstrzymany na moście przez Gandalfa
26. Pionowo – Człowiek z Gondoru
27. Słowiański opiekun lasu
28. Inne tłumaczenie Chyżwara
29. Jeden z niecnych dżentelmenów
30. Adam Wiśniewski
31. Najmłodsza córka Eddarda Starka
32. Wojciech, znany autor ilustracji (Rebis)
33. Postapokaliptyczna strefa
34. Sformułował prawa robotów
35. Samotnik z Providence

YT: @ZWYCIEZONY
IG: ZWYCIEZONY_PODKAST

ZWYCIEZONY PODKAST

**STATEK GŁUPCÓW - NIEREGULARNIK
OKOŁOKULTURALNY**

ZAŁOGA/REDAKCJA:

DZIAŁ LITERATURY:

Maciej Szmajdziński IG: @maciej.szmajdzinski

Wojciech Moska IG: @mossar.books

Adam Sołtys IG: miejski_czarodziej

DZIAŁ PUBLICYSTYKI:

Klaudiusz IG: @kanon_książki_koniecznej

Tomasz Ziembicki IG: @tom_not_a_bookworm

DZIAŁ RETRO

Marcin IG: @sirminfo

DZIAŁ KOMIKSU:

Mateusz Szłapka IG: @strongsilenttype__

DZIAŁ ROZRYWKI:

Anna Samczyńska IG: @pani_jeziOra

Małgorzata Jachim IG: @zaczytana_farmaceutka

DZIAŁ GRAFICZNY/SKŁAD NUMERU:

Paulina Stefaniak IG: @ciemnastronarcucha

Paweł Marciszewski IG: @statekglupcow

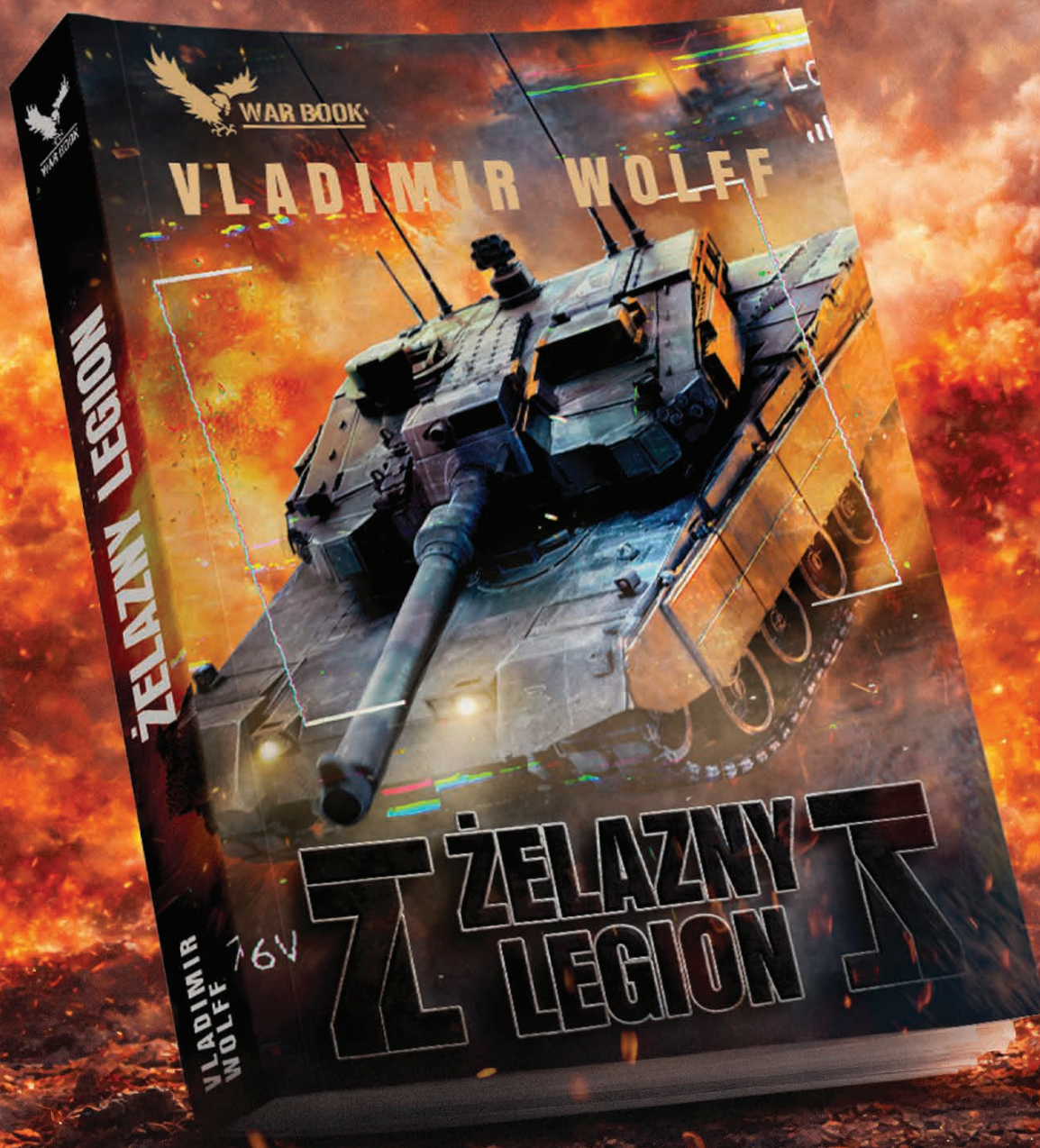
REDAKTOR NACZELNY:

Łukasz Wilkan IG: @bookstore_troll





WAR BOOK



**POLSKIE LEOPARDY, ABRAMSY I BLACK PANTERY
W AKCJI, A NAD NIMI APACHE I F-35.
SZALONA HISTORIA, KTÓREJ TRUDNO SIĘ OPRZEĆ! BĘDZIECIE ZACHWYCENI!**

JOHNY, TESTER GIER KOMPUTEROWYCH

warbook.pl

WSZYSTKO
ZGINIE

ZWYCIĘZONY

